

Korespondencje

ZYCIE KULTURALNE JELENIEJ GÓRY

Miasto i powiat Jelenia Góra, słusznie dla swego piękna górskiego nazywane polską Szwajcarią, są dla pracy kulturalnej terenem trudnym, wymagającym o wiele większego wkładu i wysiłku niż praca kulturalna na jakimkolwiek innym terenie Polski. Dzieje się tak głównie dlatego, że społeczeństwo tutejsze to w przytłaczającej większości przybysze zza Bugi, słabo pod względem kulturalnym rozbudzeni i nie wykazujący zainteresowania dla spraw kulturalnych w stopniu dostatecznym.

Dla każdego jednak obserwatora życia na tutejszym terenie zdaje się już dziś nie ulegać wątpliwości, że stan ten zmienia się i poprawia szybko. W miarę bowiem stabilizowania się życia i poprawy warunków materialnych wznaga się również chłonność kulturalna, do czego zresztą przyczynia się znakomicie działalność istniejących na tym terenie związków i organizacji artystycznych i oświatowych.

Gotów byłbym, nawet twierdzić, iż w ciągu tych czterech lat pracy zrobiono dla rozwoju życia kulturalnego więcej niż w ciągu całego międzywojennego dwudziestolecia. Zrelacjonujemy pokrótce prace i osiągnięcia w zakresie działalności teatralnej, literackiej, plastycznej i muzycznej, gdyż w tych właśnie dziedzinach są one może najwidoczniejsze. Zaczniemy od teatru.

Teatr. Państwowy Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze pod dyrekcją Zuzanny Łozińskiej z zespołem aktorskim liczącym nie więcej niż 30 osób pracuje niezmiernie intensywnie i ofiarnie, o czym świadczy choćby fakt, że na przestrzeni miesiąca daje kilka premier. Przy czym działalność teatru

nie ogranicza się jedynie do samego miasta. Pracując na dwa zespoły obsługuje on prawie wszystkie miejscowości w powiecie i spełnia prawdziwie wielką robotę w dziele upowszechnienia kultury i sztuki.

Jest to praca ogromnej wagi, z której doniosłości — być może — sami nie zdajemy sobie jeszcze dostatecznie sprawy. Entuzjazm, jaki zaczynają budzić przedstawienia wśród chłopów i robotników, gorące prośby o przyjazdy na wieś z każdą nową sztuką, gotowość pokrywania kosztów takich przyjazdów ze spektaklami przez gminy i gromady — czymże to jest, jeśli nie dowodem obudzenia się w człowieku wielkich zapotrzebowań kulturalnych? Tego nie było przed dwoma laty, nie było jeszcze przed rokiem.

Jest to zjawisko nie notowane w dziejach polskiej prowincji.

Aktorzy spotykają się z podobnym przyjęciem ze strony nowej publiczności po raz pierwszy w życiu i niczego więcej nie pragną, jak grać właśnie dla nich, dla chłopów i robotników.

Repertuar jeleniogórskiego teatru obejmuje szeroki wachlarz sztuk różnego ciężaru gatunkowego i różnej jakości. Oprócz takich utworów jak „Pygmalion” Shawa czy „Maria Stuart” Słowackiego idą rzeczy „lżejszego kalibru”: „Wesele Fonsia” Ruszkowskiego, „Gałganek” Nicodemiego i inne. Największą ilość przedstawień (35) uzyskała „Jadzia Wdowa” Ruszkowskiego, najmniej, bo zaledwie kilka, „Strzały na ulicy Długiej” Świrszczyńskiej.

W przygotowaniu znakomita sztuka Rachmanowa „Okno w lesie” (przekład Aleksandra Maliszewskiego), Wie-

czór Mickiewiczowski w układzie Romana Brandstettera oraz „Zapora” Janusza Dybowskiego. Obecnie teatr jeleniogórski stał się tak nieodzownym elementem w kształtowaniu rozwoju kultury na tutejszym terenie, iż nie podobna sobie już dziś wyobrazić życia bez teatru.

Literatura. Drugim, niemniej ważnym, choć nie tak widocznym czynnikiem kształtującym życie kulturalne, jest jeleniogórski oddział Związku Literatów Polskich, liczący ogółem 23 pisarzy osiadłych na terenie miasta i powiatu.

O doniosłości pracy literatów nad podniesieniem ogólnego poziomu życia umysłowego i kulturalnego najlepiej mówią cyfry. Oto od początku roku bieżącego do chwili obecnej oddział jeleniogórski ZLP urządził 104 imprezy, w czym kilkanaście zespołowych wieczorów autorskich (ostatnio wieczory ilustrujące dorobek literacki 5-lecia Polski Ludowej) oraz około 90 odczytów na następujące tematy: „Mickiewicz, jego życie i dzieło”, „Twórczość Mickiewicza”, „Mickiewicz i Chopin”, „Ruchy kulturalne Łuży”, „Powojenna literatura niemiecka”, „O twórczości Słowackiego”, „Polska sztuka ludowa”, „Dolny Śląsk dawniej a dziś”, „Literatura a pokój”, „W rocznicę Wielkiej Rewolucji Francuskiej” i „Życie i twórczość Puszkina”. Prezes oddziału Edward Kozikowski z odczytami o Mickiewiczu dotarł do każdej najmniejszej nawet gromady w powiecie wprowadzając istotnie naszego wieszca „pod strzechy”. Wzruszenia, z jakim prosili ludzie miast i wsi słuchali słów o życiu i twórczości Mickiewicza, nie podobna opisać. Trzeba to widzieć, by odczuć, ile w tym wzruszeniu było prostego, niekłamane entuzjazmu i radości z faktu, że kultura staje się dobrem wszystkich i dla wszystkich. Piszący te słowa miał również sposobność stwier-

dzić, wygłaszając odczyty o Puszkinie, ile w ludzie naszym kryje się tęsknoty za kulturą, choć często jest ona jeszcze nieświadomiona i przyduszona wiekowym zaniedbaniem.

Praca literatów znajduje coraz większe zrozumienie i poparcie ze strony czynników społecznych i samorządowych, co dowodzi, jak bardzo praca ta przyczynia się do wzrostu świadomości kulturalnej i społecznej wśród szerokich rzesz społeczeństwa jeleniogórskiego. Literaci przestali być „ludźmi o nieokreślonym zajęciu”. Pracują oni na wielu frontach, często dość odległych od literatury ze szkoda dla swej własnej twórczości artystycznej, ale ożywia ich w tej pracy waga dokonywanego dzieła społecznego.

Obok pisarzy młodych, wchodzących dopiero w życie literackie, mieszka tu i działają pisarze znani, mający poza sobą pokaźny dorobek twórczy. Nina Rydzewska, autorka „Akwamaryny” i „Godziny W”, pracuje obecnie w kopalni wałbrzyskiej „Biały Kamień”, gromadząc autentyczne materiały do nowej powieści „Ludzie z węgla”.

Jacek Centkiewicz, autor licznych opowieści polarnych, przygotowuje nowe książki z tego zakresu działając równocześnie na terenie społecznym i przemysłowym.

W Szklarskiej Porębie przebywa znany poeta i satyryk Jan Sztandynger, którego wielka praca teoretyczna o teatrach marionetkowych ma się ukazać niebawem w nowym wydaniu książkowym.

Literaci jeleniogórscy wypełniają w miarę swoich sił, możliwości i talentu wielkie zadanie krzewienia kultury i budzenia świadomości, że kultura jest nieodzownym składnikiem naszego nowego życia.

Plastyka. W Jeleniej Górze działa również Związek Plastyków, który zdołał wykazać się dużą działalnością i dorobkiem. Urządzono do tej

pory szereg wystaw plastyków-zawodowców i plastyków-amatorów popularyzując sztukę plastyczną i kształcąc uczucia estetyczne człowieka pracy.

Ognisko Kultury Plastycznej istniejące przy Związku wykształciło nie jeden talent plastyczny spośród młodzieży robotniczej i chłopskiej. Zadaniem Ogniska nie jest oczywiście wypuszczanie w świat jakichś skończonych artystów-plastyków. Nie. Ognisko Kultury Plastycznej postawiło sobie za cel krzewienie zamiłowania do sztuki wśród młodzieży pozbawionej dotychczas możliwości rozwijania swego talentu w tej dziedzinie. Uczniowie opuszczający Ognisko wynoszą z sobą znaczny zasób wiedzy i umiejętności praktycznych i gdy czują w sobie talent plastyczny, Akademia Sztuk Pięknych stoją dla nich otworem.

Jeśli poprzestają na tym, idą w życie bogatsi o wiedzę, umożliwiającą im tworzenie piękna w najbliższym kręgu społeczno-zawodowym. Obecnie Związek Plastyków znajduje się w przede dniu połączenia wraz z muzykami, artystami sceny i pracownikami filmu w jeden nowy związek artystyczny.

Pozwolę sobie jeszcze przypomnieć, iż na terenie jeleniogórskim, w Szklarskiej Porębie, mieszka i działa Władimir Hofman, uczeń Jacka Malczewskiego. I choć liczy on dziś ponad lat 70, wykazuje niesłychaną żywotność.

Władimir Hofman nie tylko zresztą maluje. Udziela się również pracy społeczno-politycznej stojąc na czele Komitetu Obróńców Pokoju zorganizowanego na tutejszym terenie.

Muzyka. Związek Zawodowy Muzyków w rozlicznych imprezach, organizowanych w Jeleniej Górze, Cieplicach i innych miastach powiatu, wykazał także swoją ruchliwość. Poza koncertami muzyki poważnej odbywają się koncerty muzyki lekkiej i popularnej, których zadaniem jest przygo-

towywanie niewyrobionych słuchaczy do stopniowego rozumienia utworów trudniejszych i trudnych.

Trzeba jednak powiedzieć, iż choć muzyka jest jedną z najbardziej bezpośrednich sztuk, koncerty Związku Muzyków nie cieszą się należytyim powodzeniem. Utało się nawet przekonanie, że Jelenia Góra to miasto bez uszu.

Ale i tu następuje zmiana na lepsze. Niestrudzony Związek Muzyków przełamuje opory i braki zainteresowania muzyką w społeczeństwie. Zmiany na lepsze nie są duże, ale widoczne i postępują stale naprzód. A to już coś znaczy. Związek Muzyków doberman utworów na koncertach, prelekcjami popularyzującymi zagadnienia muzyczne, odczytami o twórczości naszych wielkich kompozytorów stara się wychowywać społeczeństwo i w ten sposób dążyć do pomnażania odbiorców swej pięknej sztuki.

Związek Muzyków w Jeleniej Górze pracuje nad realizacją tych zadań gruntownie i z całym oddaniem.

W powiecie jeleniogórskim (w Szczęsnowie) mieszka znany kompozytor Ludomir Różycki, niestety z powodu złego stanu zdrowia nie pracujący twórczo.

W tymże Szczęsnowie przebywa od dłuższego już czasu znany pianista Władysław Kędra, który kilkakrotnie w ciągu bieżącego roku dał na terenie miasta i powiatu recitale chopinowskie, ściągające znaczne rzesze publiczności, zwłaszcza, młodzieży.

Wnioski ogólne. Z powyższego wynikałoby, że życie kulturalne miasta i powiatu Jelenia Góra rozwija się nader pomyślnie.

Istotnie. Pomimo licznych jeszcze braków i niedociągnięć, zwłaszcza w zakresie organizacji kultury, życie to krzewi się bujnie i zatacza coraz szersze kręgi społeczne.

Partyzantka kulturalna, tak do niedawna typowa dla omawianego tutaj

terenu, zanika i gaśnie z każdym dniem na rzecz pracy organizowanej systematycznie i planowo. Powstała niedawno przy Komitecie Powiatowym PZPR-u Rada Kultury skoordynuje i połączy wysiłki poszczególnych ogniw w jeden potężny łańcuch działalności kulturalnej kładąc ostateczny kres improwizacji i przypadkowej inicjatywie.

Wydaje mi się, iż rzeczą niezbędną i konieczną byłoby stworzenie na tu-tejszym terenie pisma społeczno-kulturalnego (może coś w rodzaju nieistniejącego już „Śląska”), które by kształtowało politykę kulturalną naszego miasta i powiatu ukazując rozliczne bogactwa twórcze i włączając się w szeroki nurt twórczości ogólnokrajowej.

Jan Koprowski (Jelenia Góra)

ZBIORY I ZABYTKI LUDOZNAWCZE KATOWIC — CHORZOWA — BYTOMIA

Niekażdy zdaje sobie sprawę, że tzw. „Czarny Śląsk” jest bajecznie kolorowy barwą swego stroju ludowego, który wśród dymu kominów i kopalni węgla jeszcze dotąd imponuje swoim bogactwem i dodaje wdzięku zadymionej krainie śląskiej. Strój ten jest po dzień żywotny. W dni odświętne uderza na ulicach miast swą oryginalnością, a poza tym jest on pieczołowicie przechowywany w skrzyniach pradawnych i w gablotkach muzealnych. Szeręg miast śląskich posiada muzea regionalne, gdzie poczesne miejsca zajmują eksponaty ludoznawcze. Niszczycielska siła Marsa zniweczyła wspańnię zabytki muzealne wraz z całym gmachem w Katowicach. Pozostał jedynie miniaturowy kościółek drewniany ustawiony na wzgórzu w rozłożystym Parku Kościuszki. Cenny ten zabytek architektury ludowej jest tak maleńki i tak ukryty wśród wysokich drzew, że trudno go odnaleźć. Wreszcie po długiej wędrówce ukazują się szerokie terasowe schody, które prowadzą do tej niewielkiej świątyni zbudowanej w Syryni między r. 1305 a 1510, przeniesionej zaś do Katowic krótko przed wojną światową, bo w r. 1938/39. Urzeka ona widza nie tylko swymi rozmiarami, patyną wieków, spadzistym dachem gontem krytym,

wysmukłą wieżyczką, dzwonnica obok stojąca, płotem drewnianym oraz wnętrzem z niedużą kazalnica i maleńkimi ołtarzykami barokowymi tonącymi w półmroku i przybranych bogato kwieciami, lecz tym spokojem, który pozwala widzowi myśleć nad pracą i uzdolnieniami wiejskich artystów, którzy sprzed wieków takie cenne zostawili pamiątki dla potomności.

W sąsiedztwie Katowic w niedalekim Chorzowie stworzył arcyciekawą placówkę muzealną dyr. Stanisław Wallis, niezmordowany zbieracz-etnograf, który w bardzo pomysłowy sposób rozłożył eksponaty i umiał dać im nie tylko odpowiednie tło, ale i posmak wysoce artystyczny. Pomieszczenia na Muzeum udzielił Zarząd Miejski. Już przybranie kłatki schodowej okazuje, ku jakim zbiorom ona wiedzie. Są tu liczne skrzynie malowane i inne meble, szczególnie uderzają ściany zawieszono akwarelkami równej wielkości, a jest ich bez przesady kilkakset. Cóż one przedstawiają? Otóż są to zilustrowane pieśni ludowe, pieśni posegregowane na takie, które opiewają ptactwo, rośliny, miasta lub oddają charaktery i nastroje: enotliwość, religijność, smutek, szelmstwo. Inne znowu mają za temat wojny, powstanie śląskie, rok kościelny, życie górnika, rozbójnika, rolnika,

rzemieślnika, robotnika i tak bez końca. W osobnej salce zgromadzone są rękopisy pieśni ludowych z 18 i 19 w., zebrane mozolnie przez różnych zbieraczy.

A teraz przyjrzyjmy się bliżej tytułom podkreślającym tematykę pieśni. Ornitologię reprezentują piosenki „Siedzi Dudek na kościele” lub „Miałach jo gołąbka”. Inne działy w w. „Wyrosło mi piękne lelujo”; chachar, czyli łobuz, śpiewa „Ida, ida pod sztaf-hutem”, „Jedzie szmaciorz ulicom”. „Poszła baba do farorza”. Przykładów byłoby bez liku, gdyby nie szczytowa ilość miejsca. Wszystkie te piosenki odzwierciedlają duszę ludu śląskiego i wykazują jego wielkie zamiłowanie do natury, jego dowcip i humor, którego mu nigdy nie brak.

Cykl obrazów o wierzeniach i przysłowia ludowych wtajemnicza widza w przesady utrzymujące się wśród ludności. „Skarbnik”, ukazujący się co pewien czas w kopalniach, ostrzega przed nieszczęściem. „Skrzotek” pod postacią koguta znosi ziarno gospodarzowi z cudzych stodół, aby go wzbogacić. „Świełok” to duch potępieńca, który chcąc winy swe zmasać, musi się tulać po świetle aż do chwili odkupienia win. „Polednica” podrzuca swojego „podciepa” (dziecko), zabierając matce jej własne, ładniejsze.

Wśród przysłów zilustrowanych wyróżniają się dobrym ujęciem „Co komu to komu, pastuchowi trumba” i „Albo zysk — albo w pysk”.

Inny zespół malowideł poświęcony zwyczajom weselnym podkreśla przepych stroju ludowego. Znowu jak w fotoplastikonie przesuwają się barwne „sprosiny”, ślub, wesele, tańce, oczepiny, poprawiny i „przewoziny”, gdzie panna młoda siada na malowanej skrzyni wyprawnej opatrzonej w kółka, a pan młody wiezie małżonkę do siebie wśród śmiechu, łez i dowcipów rozigranych gości weselnych.

Herbarium urządzone w salce bez światła dziennego, za to o sztucznym oświetleniu, daje pogląd na ważną rolę, jaką w życiu naszego ludu odgrywają rośliny. Umiejętnie, przejrzysto i artystycznie zasuszone zioła, zachowujące nieomal barwę naturalną, to dział podlegający pieczołowitej opiece p. Anieli Wolnej-Górskiej. W gablotkach i na ścianach dziesiątki ziół używanych w lecznictwie, użytkowych, obrzędowych, ziół związanych z zabobonami, zaklęciami i czarami. Uderza olbrzymich rozmiarów skrzyp, dziecięca czapka z bluszczu nakładana na głowę dziecka przy chorobach skórnych, białe krasikuń, czyli konieczyna; totor, inaczej kalmus lub totorok zwany: żabie jajka, wilczy jad, czarci pazur, diable złoto, kanie mleko, rękawiczki Matki Boskiej, czyli księżonki, u nas spotykane pod imieniem orlików, mantlik Matki Boskiej. Nie brak i „czerwotoczyny”, pyłku z drzewa robaczywego na zasypywanie ran. Słowem, całe bogactwo farmacji ludowej, która wielokrotnie skuteczne znajduje zastosowanie.

Osobne sale poświęcone są czy to sprzętom domowym, czy gospodarczym, rolniczemu czy rzemieślniczemu. Niektóre z nich wyróżniają się pomysłowymi wykonaniem i zdobnictwem. Podziwiamy „ocyłki”, krzesiwo sprzed 100 lat, zamki i klucze drewniane do chat, żarna różnorakie, niecki do urabiania ciasta chlebowego, „słomionki” ze słomy i wikliny do formowania bochenków (łopaty do wsadzania chleba), moździerz z drzewa lub żelaza, stępy zwykłe i przysiadkowe z stęporem do tłuczenia kaszy, „łok” z pnia topolowego służący do wędzenia mięsa, z trudem zdobyty w Starych Reptach w pow. tarnogórskim, weyiskaczki do sera białego, wagi, mecki, korce miary, wśród nich miara „sypna” na 10 litrów, koszyk „siewok” do wysiewania zboża, brony drewniane, ozdobnie wycinane, plug, radło, wóz drabiasy, jarzombica

czyli jarmica na parę wołów, koszyki różnych odmian i nazw z pałąkiem lub dwoma, z przykryciem lub bez; „gliwiczok”, „obłączok wiejski”, „mikołowiok”, „raciborzok”, „prok” do ubijania, czyli prania bielizny w bieżącej wodzie, i najróżniejsze mniej lub więcej zdobione „wałkownice”. „Dyrlog” to trzy górą złączone a dołem rozstawione tyczki, wśród których kobieta zawiesza płachtę, a w niej maleństwo, gdy wśród dnia idzie do pracy polnej i nie ma komu dopilnować dziecka w domu. Kolekcję narzędzi kołodziejских, bednarских, kowalskich i innych zapoznają młodzież z nazwami i przeznaczeniem.

Wielką atrakcją stanowi izba wiejska „żywcem” z chaty do muzeum przeniesiona. Jest tu kominek z żarzącym węglivem, malowane umeblowanie wiekiem podniszczone, na półkach liczne szolki, inaczej gorczuszki (kubki) do kawy, zénficioki do musztardy i barwne talerze.

Opuszczając piękne i pouczające te zbiory widzimy w ostatniej sali bezcenne stroje śląskie, zdobne w ręczne hafty i koronki, a w małej oszklonej witrynie „koronę z orzechów”, wręczaną gospodarzowi przez czeladź w dniu wigilijnym, zwyczaj, który się zachował do r. 1870.

Tramwaj dalej nas wiedzie do Muzeum Ludoznawczego w Bytomiu. Jest to imponujący pokaz kultury materialnej Ślązaków. Izby z Głubczyc, Głucholazów, Raciborza, Śląska Cieszyńskiego i Górnego, Bytomia i Rozbarka ciągną się długim szeregiem jedna za drugą w olbrzymiej sali i coraz to ciekawsze roztaczają przed nami szczegóły umeblowania chat. Malowane łoża z baldachimem, skrzynie „wianowe”, przęślice i kołowrotki. Świeczniki samowite z korzeni i pniaków drzew to prace pomysłowe górali śląskich. Na stołach, miśnikach i półkach ogromnych rozmiarów misy brunatne i zielono-białe; wysoki dzban z Raciborza

z pokrywą, której uchwyt zdoła miniaturka tegoż dzbana, „święcok” (świecok) na szczapy z żelaza kutego z Jaworza w powiecie cieszyńskim, różne świeczniki drewniane, „wilk” czyli kozielek ogniowy, stawiano na nim garnki, w których gotowano strawę na kominku. Poza tym widzimy formy kamienne do pieczenia babek, zdobne w serca, gdzie indziej zupełnie nie spotykane, maglownice z „kulokiem”. Wytwórczość małomieszkańskich złotników przedstawiają spinki, guzy i zapinki, przeznaczone do strojów cieszyńskich.

Nie zapomniano o różnych narzędziach służących do niszczenia szkodników w polu i domu i do chwywania dziczyzny i ptactwa. Oto „sztuchaczka” do zabijania kretów, „paść” na myszy używana w okolicach Rybnika i Olesna, sidła na kuropatwy i inne ptactwo, klekotka do płoszenia zajęcy i szpaków. Duży jest zbiór form do masła, wszystkie drewniane i nierzadko ładnie rzeźbione. Gdzie indziej w przystępny sposób zilustrowano historię przemian zboża — od rozcieracza prehistorycznego do młyna nowoczesnego.

Mało spotykany i obfity tu przegląd uli pszczelich, zapoznaje widza z ulami figuralnymi i kładowymi, gdzie w olbrzymim pniu aż 3 roje znalazły ogniś każdy osobne pomieszczenie. Nie brak i uli słomianych. Wyczuwa się tutaj, w jak wielkim poszanowaniu i jak wysoki stopień rozwoju osiągnęło w tym zakątku ziemi pszczelnictwo. Zrozumiałą staje się rzecz, że w tym pszczelarskim kraju śląskim zrodził się słynny pszczelarz Jan Dzierżon (1811—80), który swoimi pracami: „Najnowsze pszczelnictwo” i „Nowe udoskonalone pszczelnictwo” położył kamień węgielny nauce o pszczolach i tym samym przyczynił się do rozgłosu światowego wiedzy polskiej i w tej dziedzinie.

Wiesława Cichowicz (Katowice)

NA MARGINESIE OBJAZDOWEJ WYSTAWY: „MIKOŁAJ KOPERNIK”

Związek Historyków Sztuki i Kultury podjął piękną myśl spopularyzowania wśród szerokich mas społeczeństwa wielkiego rodaka, Mikołaja Kopernika, za pomocą wystawy objazdowej. Jest to zagadnienie bardzo ważne choćby dlatego, że Niemcy, roszcząc pretensje do wielkiego astronoma, udowadniali jego germańskość, tak że dziś jeszcze dla wielu byłych obywateli Rzeszy polskość tego światowej sławy uczonego okazuje się rewelacją. Toteż wystawa powinna dotrzeć nie tylko do wielkich skupisk ale do najbardziej zapadłych zakątków kraju, zwłaszcza Ziem Odzyskanych.

Wystawa, dokonana dużym nakładem pracy i środków finansowych, zgromadziła szereg fotosów charakterystycznych portretów, ciekawych dokumentów, rękopisów, rzadkie miedzioryty, w zmniejszonym formacie modele przyrządów, jakimi posiłkował się Kopernik w badaniach astronomicznych. Rzeczowe wykłady-objaśnienia kierownika Wystawy zdołały licznych słuchaczy rekrutujących się głównie spośród młodzieży wprowadzić w świat i epokę wielkiego męża, którego postać tak silnie związana jest z Olsztynem.

Należy jednak przypomnieć, że nie jest ta wystawa na terenie, na zamku olsztyńskim, pierwszą. W tych samych salach już w r. 1946 z okazji 403 rocznicy zgonu Kopernika Olsztyn uczcił wedle możliwości swego patrona, obrońcę, astronoma który z wieży zamkowej obserwował „Polskie Niebo”. Na krużganku wykonał zegar słoneczny (szczątki zegara dziś jeszcze oglądać można). W komnacie ostrołukowo sklepionej, przylegającej do ganka, mieszkał, rozmyślał, pracował nad wiekopomnym dziełem.

Dnia 21 maja wspomnianego roku Instytut Mazurski przy wydatnej pracy Hieronima Skurpskiego, kustosa Muzeum Mazurskiego, pokusił się

o zorganizowanie pierwszej wystawy, a uroczystość z nią związana, zakończona w trzy dni później we Fromborku, według słów wojewody ówczesnego dra Z. Robla, który otwarciu dokonał, stała się „mocnym symbolem kultu naszego dla Mikołaja Kopernika, mocnym i stanowczym stwierdzeniem jego przynależności do narodu polskiego, której nie daliśmy sobie jako Polacy wydrzeć nawet w czasach najsroźszych gwałtów zaborczych — przekazujemy nasz kult przyszłym pokoleniom, podkreślając niewzruszenie i mocno, że nie podejmujemy żadnych aspektów polemicznych na temat sztucznie podniecanych przez stronniczą naukę niemiecką kontrowersji, dotyczących narodowości Kopernika”.

Ówczesna wystawa na zamku olsztyńskim zgromadziła między innymi 56 reprodukcji i sztychów oraz 22 książki, z czego 13 starodruków Instytut Mazurski ofiarował w dwa lata później Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku z racji jego otwarcia, w którym wziął udział „cały Olsztyn”.

Dla Olsztyna bowiem Kopernik był nie tylko wielkim mocarzem, który „wstrzymał słońce, ruszył ziemię”, nie tylko hydraulikiem który po miastach warmińskich zakładał wodociągi. W Olsztynie od 1516 r. jako administrator dóbr kapitulnych pełnił ciężkie obowiązki. Stąd wyjeżdżał w teren do zapadłych wsi, badał osobiście ciężką sytuację ekonomiczną: wszakże Ziemia Warmińska, nekana ciągłymi napadami krzyżackimi, wyludniona była, zniszczona ogniem i rabunkiem. Mikołaj Kopernik nadawał ziemię osadnikom chłopskim, udzielał pomocy w ziarnie siewnym, inwentarzu, udzielał porad lekarskich, uczył racjonalnego przyrządzania chleba oraz czynił wszystko, aby zaludnić opustoszałe tereny. Na Warmii doszła go radosna dlań wieść o tym „że Moskwa z kró-

lem (polskim) pokój zawarła tak, że cała dufność sąsiadów runęła”.

Po trzech latach zrezygnował ze stanowiska, które paraliżowało pracę naukową, aby w ustronnym Fromborku poświęcić się całkowicie umiłowemu studium astronomicznemu.

Ale kiedy Warmia znalazła się niebawem w obliczu niebezpieczeństwa krzyżackiego, kiedy „potrzebny był człowiek o jasnym umyśle i silnej ręce”, jak to przyznaje Niemiec — biograf dr Gigalski w pracy „Nikolaus Copernicus in Allenstein” (Olsztyn 1907), powołano go ponownie do Olsztyna. Tu okoliczności spo-

wodowały, że geniusz Kopernika odsłonił nowe oblicze: wodza. Na czele załogi polskiej, liczącej 100 żołnierzy, kiedy cała Warmia opuszczona przez władzę duchowne, zajęta została przez najeźdźców krzyżackich, wiosną 1521 r. dzięki talentowi strategicznemu i męstwu Kopernika, kluczowa pozycja — twierdza olsztyńska — została uratowana, co bez wątpienia odegrało decydującą rolę w odniesionym przez króla polskiego Zygmunta I. zwycięstwie nad Zakonem Krzyżackim.

Toteż Olsztyn czei i miłuje Kopernika.

Emilia Sukertowa-Biedrawina
(Olsztyn)

MAZURSKIE TKANINY I DRUKI NA WYSTAWIE P. Z. Z. W MRĄGOWIE

Dość liczne skupisko Mazurów w Mrągowie i okolicy przejawia od czasu do czasu żywotność. Liceum Pedagogiczne ściągnęło liczne grono młodzieży z tego pokolenia, które w zaraniu życia znalazło się w kotle hitlerowskim, a teraz uratowane zostało od wynarodowienia i przywrócone społeczeństwu polskiemu.

Osiedla nad jeziorami Juno i Czos¹⁾ posiadało jakieś stare tradycje: miało podobno nosić nazwę Sędzibórz — od sędziwych borów — z czego Niemcy w średniowieczu ukuli nazwę Sensburg, a później sami głowili się nad jej pochodzeniem. W Polsce odrodzonej nadano miastu nową nazwę ku uczczeniu opatrnościowego męża: Mrągi-Mrongowiusza. W początkach jednak podobieństwo nazwy Mrągowo ze starym Morągiem spowodowało wiele nieporozumień.

We wrześniu autochtoni dali znać o sobie. W lokalu Polskiego Związku

¹⁾ W dokumentach nadawczych z XV wieku wypisano „Czos”, co należy czytać Cos (a może Cios), a nie Czos, jak się powszechnie obecnie używa.

Zachodniego, którego lwia część członków rekrutuje się z Mazurów, głównie staraniem sekretarza Związku F. Rataja urządzone wystawę tkanin i druków mazurskich. Może nie stała ona na wysokim poziomie, krytyka zarzucić mogła to i owo, w każdym razie cenić należy samorzutny odruch i szczerą intencję organizatorów i wystawców. Rataj, przed wojną aktor, śpiewak estradowy i operetkowy, nazywany w prasie niemieckiej „patriotą mazurskim”, przesiedział siedem lat w obozach hitlerowskich, dziś pracuje z zapalem dla swoich ziomeków.

Wystawa zgromadziła pewną ilość druków mazurskich, w tym z XVIII wieku, oraz tkaniny piękne, podobne do owych eksponatów na wystawie sztuki ludowej, która z początkiem ub. r. wielkie wywołała zainteresowanie, a Józef Grabowski w podwójnym, artystycznie wydanym numerze czasopisma „Polska Sztuka Ludowa” sporo poświęcił jej miejsca.

W kolekcji wystawionej w Mrągowie specjalną uwagę przykuwały piękne tkaniny wykonane mistrzowską

ręką Kajeczyny, żony Michała. Na tych „płachtach” często spoczywały siwe oczy wieszczki mazurskiego, który tak bardzo miłował wszystko, co rodzime.

Rataj powziął myśl godną pochwały: chciał Mazurom wykazać, że po domostwach ich, choć tak bardzo spustoszonych podczas wojny, znaleźć można i dziś jeszcze cenną po ojcach i matkach spuściznę. Nauczył ich cześć te pamiątki, szanować tak stare księgi „krakowskim szryftem” drukowane jak i rodzimą sztukę, udowodnił, że je inni, nawet znawcy, w wysokiej mają cenie. Społeczeństwu polskiemu Mrągowa, które z różnych stron kraju przybyło i z nieufnością odnosiło się do rzekomo „niemeczonych Polaków wschodnio-pruskich”, wykazał, że nie tylko wspólną sztukę posiadają, nie tylko wspólna łączy ich mowa ojczysta, ale że jej nawet w najcięższych czasach hitleryzmu nie zatracili.

Podczas otwarcia wystawy staruszka przedła kądziel na misternie rzeźbionym „kołku” a starzec drzącym, ale dźwięcznym głosem odśpiewał szereg niezmiernie ciekawych tak pod względem językowym jak wokalnym piosenek. Te piosenki notować trzeba pośpiesznie, zanim zejdą do grobu ci starzy, którym ojcowie i dziadowie po przodkach spuściznę przekazali. Byłoby bardzo pożądane, aby dr Zabrocki, który z końcem lata przez kilka dni bawił w województwie olsztyńskim ze swym aparatem fonograficznym przyjechał jak najprędzej i uwiecznił piosenki sędziwych pieśniarzy mazurskich, utrwalił gwarę, która się przechowała jeszcze gdzieś czysta i nieskażona, ale która zaniknie pod wpływem różnych, z innych dzielnic przyniesionych właściwości językowych i mowy warstw wykształconych.

Emilia Sukertowa-Biedrawina
(Olsztyn)

ARCHIWUM MIEJSKIE W TORUNIU

jako warsztat pracy dla studiów pomorzoznawczych *)

W korespondencji poprzedniej omówione zostały prace badawcze Instytutu Zachodniego, Oddział w Toruniu, zmierzające do stwierdzenia historycznej polskości tzw. Wielkiego Pomorza przez zbadanie pierwotnego stanu zaludnienia tego terenu. Zasięg i doniosłość podjętych prac czynią z Torunia ważny ośrodek badań pomorzoznawczych, których prowadzenie umożliwia fakt, iż miasto posiada dwa pierwszorzędne warsztaty pracy naukowej w tej dziedzinie: Archiwum Miejskie oraz Książnicę Miejską im. Kopernika.

*) Jako materiał do niniejszej korespondencji posłużył obok zwiedzenia Archiwum i uprzejmie udzielonego przez p. Helenę Piskorską wywiadu także jej artykuł pt. Archiwum m. Torunia w czasie przed okupacją i po okupacji (nadb. Zapiski Tow. Nauk. w Toruniu).

Archiwum Miejskie od początku swego istnienia mieści się w zabytkowym gmachu ratusza, zajmującym środek Rynku Staromiejskiego. Gmach zbudowany został w XIV wieku w stylu flandryjskiego gotyku na wzór ratusza w Ypres a pozwolenie na jego budowę wydał w. mistrz Konrad Walenrod w r. 1393. Dokument ten, opatrzony imponującą pieczęcią, oprawiony w oszkloną ramkę, stanowi jeden z najbardziej atrakcyjnych eksponatów stałej wystawy archiwalnej, zorganizowanej niedawno w jednej z sal Archiwum. Nie on jednakże jest najwcześniejszym aktem, dotyczącym Torunia, lecz tzw. przywilej chełmiński z r. 1251, będący powtórzeniem pierwszego przywileju lokacyjnego z r. 1233, który spalił się niebawem w Chełmnie, gdzie był wystawiony i przechowywany. Zakon

wystawił go ponownie w dwóch egzemplarzach, z których jeden pozostał w Chełmnie, drugi zaś przekazany został Toruniowi, gdzie się przechowuje po dziś dzień w specjalnej puszcze z twardego drzewa, zaopatrzonej w wentylatory, świadczącej o dużym zmyśle archiwalnym ludzi średniowiecza.

Gdzież umieszczono tę cenną „metrykę Torunia”, skoro ratusz jeszcze nie istniał? Ratusz nie, ale istniała wieża, wzniesiona w w. XIII. Potężna, warowna, niedostępna niszczącej sile ognia, wody i ludzkiej złej woli, przetrwała 700 lat prawie bez zmiany i dziś stanowi najstarszą część ratusza, w który została harmonijnie wkomponowana. W średniowieczu spełniała rozliczne zadania: szczyt jej był strażnicą, z którego stały posterunek czuwał nad bezpieczeństwem groda, poniżej umieszczone były dzwony alarmowe, najniższe kondygnacje zajmowało więzienie dla przestępców, skazanych wyrokiem rady miejskiej, piętra środkowe mieściły skarbiec i archiwum, które takim sposobem jest najstarszym w Polsce co do wieku swego lokalu (trzecim zaś co do wieku posiadanych dokumentów). Z biegiem czasu szczupłe pomieszczenie w samej wieży przestało wystarczać narastającym archiwaliom i zajęły one szereg izb sąsiednich już poza obrębem wieży. Akta bieżące trzymano w kilku kancelariach, natomiast akta o znaczeniu zabytkowym i historycznym, mające wartość trwały, przechowywano stale w wieży. Dzięki temu tzw. Archiwum Akt Dawnych oparło się zwycięsko wszelkim atakom losu, oszczędził je nawet pożar, który w r. 1703 strawił górne piętro ratusza i helmy wieńczące wieżę, nie mógł się jednak przedostać do archiwum, którego wnętrza broniły drzwi szczelnie zamknięte, ciężkie, grubą blachą obustronnie obite.

Zabezpieczone od kataklizmów, nie ruszane z miejsca w ciągu siedmiuset lat (wiadomo zaś, że przeprowadz-

ka jest nie mniej groźnym wrogiem starych dokumentów niż wojny i pożogi), Archiwum toruńskie poszczycić się może imponującą ciągłością i całością swych zbiorów. W chwili wybuchu wojny posiadało ono 6564 dyplomy, około 2500 tomów ksiąg i fascykułów akt, nieduży zbiór pieczęci oraz kilkanaście serii tabliczek woskowych, zachowanych dziwnym zbiegiem okoliczności, służyły bowiem do zapisek mniej ważnych, nie przeznaczonych do przekazania potomności, zużywały się szybko i bywały niszczone po zużyciu. Organizacyjnie dzieliło się na Archiwum Akt Dawnych i Archiwum Akt Nowych. Do pierwszego należały następujące zespoły:

- A) Archiwum Staromiejskie, w nim zaś
 - a) dyplomy od r. 1252 (przywilej handlowy księcia Sambora pomorskiego)
 - b) księgi ławnicze od r. 1363,
 - c) księgi radzieckie od r. 1658, gdyż wcześniejsze spłonęły w r. 1703 w kancelarii radzieckiej)
 - d) księgi czynszowe od r. 1318
- B) Archiwum Nowomiejskie, zawierające
 - a) księgi czynszowe od r. 1366
 - b) księgi ławnicze od r. 1388

W r. 1454 nastąpiło złączenie w jedno miasto starego i nowego Torunia, akta wspólnego oddział archiwum miejskiego doprowadzone są do r. 1816.

Do Archiwum Akt Dawnych należą ponadto:

- C) Archiwum Ziem Pruskich, sięgające tworzenia się organizacji stanów pruskich i od samego początku oddane Toruniowi pod opiekę. Rozpoczyna je wspomniany Przywilej Chełmiński z 1251 r., rękopisy zaś sięgają r. 1370. Do zespołu tego należą akta hanzeatyckie, wojny trzynastoletniej i sejmików pruskich.

D) Archiwum cechowe, na które złożyły się 53 cechy toruńskie, posiadające 3470 listów cechowych z lat 1339 do 1868 i 505 rękopisów.

E) Archiwa małych miast i wsi okolicznych od połowy XVI w.

W Archiwum Akt Nowych wyróżniało się następujące zespoły:

A) Akta Księstwa Warszawskiego

B) Registraturę miejską od r. 1815 do 1920.

C) Registraturę miejską polską z lat 1920—1939.

Pó wojnie przybyły jeszcze jako zespół najnowszy

D) Akta poniemieckie z lat 1939 do 1945.

Oprócz tego Archiwum posiada zbiory kartograficzne oraz przechowuje depozyty organizacji współczesnych jak PCK, Tow. Pomocy Naukowej i wielu innych.

Do rozbiórów Polski (ściśle do r. 1793) Archiwum było skarbcem miasta, instytucją żywą, służącą miastu w sprawach bieżących. Potem wskutek utraty samorządu stało się instytucją martwą, przechowalnią zbiorów, zabytkiem historycznym. W ciągu wieku XIX opiekowano się zbiorami gorliwie, czasem zbyt gorliwie, gdy np. w ferworze porządkowania rozerwano całość Archiwum Ziem Pruskich mieszając jego dokumenta i akta z dokumentami i aktami miejskimi. Współczesne metody porządkowania zbiorów archiwalnych wykształciły się w ciągu w. XIX i dopiero w końcu tego stulecia otrzymał Toruń stałego archiwistę. Placówką naukową stało się Archiwum Miejskie już pod zarządem polskim, w r. 1927. Kierownictwo tej placówki powierzono sile fachowej, Helenie Piskorskiej, której w r. 1936 dodano do pomocy drugiego pracownika naukowego, dra Mariana Magdańskiego, oraz stałego pracownika fizycznego. Do poszczególnych prac specjalnych przydzielano doraźnie odpowied-

nich fachowców. Z takiego postawienia sprawy widać od razu, że praca w archiwum, o wiele mniej znana ogółowi niż praca w pokrewnych instytucjach — bibliotekach, nie została zrozumiana i oceniona przez ówczesne władze magistrackie. W pojęciu laika archiwum to zbiór starych szpargałów, a robota przy nich polega chyba tylko na ich strzeżeniu i odkurzaniu. Tymczasem właściwym zadaniem archiwisty jest olbrzymia praca przygotowawcza, po której wykonaniu dopiero może się zabrać do dzieła badacz-naukowiec. Żaden uczony nie będzie się grzebał w stercie bezładnie leżących papierów. Do archiwisty należy akta uporządkować, posegregować, opisać, zinventaryzować, skatalogować. W tym celu należy je najpierw odczytać, jeśli nie „od deski do deski”, to przynajmniej „na wrywki”, żeby się zorientować w ich treści, ustalić tytuł, datę, pochodzenie, podpisy względnie pieczęcie, które w średniowieczu grały rolę dzisiejszych podpisów. Każdy dokument musi być szczegółowo opisany, wciągnięty do inwentarza, opatrzonej sygnaturą, trzeba dla niego sporządzić kartę katalogową i włączyć ją do kartoteki. Uczony przychodzi niejako na gotowe, musi wiedzieć, czego się po danym dokumencie może spodziewać, bierze do wykorzystania te, które mają znaczenie dla jego tematu, inne zaś pomija. Cała ta olbrzymia praca przygotowawcza musiała być wykonana przed gościnnym otwarciem Archiwum dla żadnych wiedzy badaczy. Materiał udostępniano im częściowo, w miarę postępu pracy. Do września 1939 r. uporządkowano magazyny, włączono do Archiwum akta rachunkowe XVIII w., akta przemysłu miejskiego XVIII w., księgi ludności z pocz. XIX w., registraturę z czasów Księstwa Warszawskiego, zbiory kartograficzne. Uruchomiono pracownię naukową, której frekwencja wzrastała z każdym rokiem. Rozpo-

często serię wydawnictw własnych (wyszły dwa tomy), a także prace wstępne do wydawnictwa źródeł do wojny trzynastoletniej.

W związku z 700-leciem Torunia, obchodzonym uroczyście w r. 1933, wydane zostały „Dzieje Torunia” (praca zbiorowa) i „Dzieje cechów toruńskich” (Stan, Herbst).

Czeka na opracowanie bogaty materiał do dziejów ustroju miejskiego i do historii rozwoju prawa chełmińskiego. Tematy te, poruszane dotąd ubocznie tylko, wymagałyby szczegółowego opracowania ze względu na to, że na prawie toruńskim wzorowało się wiele miast, między innymi także Warszawa, ma więc ono znaczenie nie tylko lokalne. Niewyzyskane są też materiały Archiwum do administracji miasta, gospodarki w dobrach ziemskich oraz początków gospodarki fabrycznej (Toruń posiadał papiernię, młyny, garbarnię).

Największe znaczenie dla studiów porównawczych posiada oczywiście bogate a bardzo jeszcze mało wykorzystane Archiwum Ziem Pruskich. Bez dokładnego zbadania jego zawartości nie podobna myśleć o definitywnym (o ile takie w ogóle jest możliwe) opracowaniu dziejów b. Prus Książęcych oraz historii gospodarczej i kulturalnej całego południowego wybrzeża Bałtyku, o czym wiele mogą powiedzieć akta hanzeatyckie.

Archiwum Ziem Pruskich zawiera obfite materiały do historii sejmiku ziem pruskich, który był organem samorządu gospodarczego i terytorialnego, posiadał własny skarb, zajmował się naprawą tam przy Wiśle, regulacją dopływu wody do Nogatu, sprawami handlu, hodowli oraz wszelkimi administracyjnymi; zbadanie jego dziejów będzie miało duże znaczenie dla poznania gospodarczej i społecznej historii Polski. Planowane jest wydanie ksiąg rachunkowych z czasów wojny trzynastoletniej (połowa XV

w.); które stanowią niezwykle cenny materiał do dziejów gospodarczych, a w szczególności do dziejów cen i plac oraz ich wzajemnego stosunku; są to jedyne w swoim rodzaju źródła polskie do tego okresu; jedną z tych ksiąg rachunkowych ogłaszano już przed wojną, przygotowanie do druku dalszych jest w toku. W przygotowaniu są ponadto inwentarze majątków z okresu od XVI do XVIII w., co umożliwi zbadanie położenia chłopów na podstawie materiału z pierwszej ręki.

Archiwum toruńskie posiada także nader bogate materiały do historii ruchów ludnościowych od XVI do XX w.; są one przedmiotem opracowania. Obfite źródła miejskie pozwolą zbadać gruntownie dzieje klasy robotniczej. W trakcie wykorzystywania są obecnie bardzo ciekawe i zgola nieopracowane materiały do dziejów konfederacji toruńskiej z 1767 r.

Uniw. M. Kopernika od początku swego istnienia nawiązał ścisły kontakt z Archiwum, które uruchomiło na użytek profesorów specjalne pracownie i ofiarowało uniwersytetowi pomoc w szkoleniu studentów-przyszłych archiwistów. Sprawę wydawnictw źródłowych, planowanych przed wojną przez Archiwum, ujęło obecnie w swe ręce Tow. Naukowe.

Aktualna dziś myśl zaznajomienia szerszego ogółu z zadaniami archiwów jako placówek kulturalnych i z istotą pracy archiwalnej znalazła wyraz w organizowaniu wystaw. Przed wojną Archiwum toruńskie zorganizowało wystawę czasową w roku jubileuszowym 1933, obecnie urządziło wystawę stałą. Cel jej jest naukowo-dydaktyczny. Na ekspozycję składają się ryciny, sztychy, mapy, plany, fotografie akt zaginionych i akta autentyczne, rozwieszane na ścianach, oraz otwarte księgi, wyłożone w gablotach. Materiał rozłożony tematycznie: wilkierz, czyli konstytucje miejskie i wiej-

skie, akta sądowe, rachunki miasta, akta sądu wetowego, statuta górników zatrudnionych przy wydobywaniu soli, akta cechowe, wreszcie osobna gablota ilustruje tok pracy archiwalnej. Wystawa daje niezłe po-

jęcie o archiwum jako o miejscu przechowywania zbiorów i opieki nad nimi oraz jako o placówce kulturalnej, poświęconej ich fachowemu opracowywaniu i udostępnianiu.

Janina Budkowska (Toruń)

ZJAZD HISTORYKÓW SZTUKI W ŁAŃCUCIE

Utartym już zwyczajem doroczne zjazdy delegatów oddziałów Związku Historyków Sztuki i Kultury odbywają się corocznie w innej dzielnicy kraju, by pozwolić zebrany zapoznać się z zabytkami sztuki innego terenu oraz przedyskutować rozmaite zagadnienia narzucone przez dane warunki czy to w dziedzinie badań odkrywczych, czy problemów konserwatorskich.

Tak więc trzy poprzednie zjazdy odbyły się na terenie: Śląska Wielkopolski i Pomorza — i za każdym razem uczestnicy odbywali wycieczki na Ziemię Odzyskane. Zjazd tegoroczny w dniach od 8—12 czerwca odbył się w Łąncucie, korzystając z gościny zorganizowanego w zamku łańcuckim Państwowego Ośrodka Muzealnego.

Zjazd zgromadził 75 członków Związku, przedstawicieli oddziałów: warszawskiego, krakowskiego, poznańskiego, pomorskiego i wrocławskiego. Przybył również na zjazd wicemin. Sokorski oraz dyr. Depart. Prasy i Informacji Min. Spraw Zagranicznych.

Po wygłoszonych przemówieniach powitalnych nastąpiły sprawozdania Zarządu Głównego oraz poszczególnych oddziałów za rok ubiegły. Zarówno sprawozdania, dowodzące aktywności Związku, jak i wywołane nimi dyskusje stwierdziły żywotność Związku i istotny wkład jego w życie zawodowo-społeczne, a nawet naukowe w tej dziedzinie zainteresowań.

Początkowo Związek grupował tylko historyków sztuki i archeologów, następnie rozszerzono jego ramy na pre-

historyków, etnografów, historyków sztuki itd, tak, że dziś liczy 316 członków. Budżet Związku za rok ub. wyniósł ponad 20 milionów; na rok przyszły jest przewidziany budżet przeszło 2 razy większy. Zarząd Związku ma siedzibę w Warszawie, a oddziały funkcjonują w miastach uniwersyteckich, koordynując swą działalność.

Każdy z tych oddziałów ma jednak swój własny program i metody działania narzucone bądź przez warunki terenowe, bądź przez charakter i potrzeby społeczeństwa danego ośrodka czy też danej części Polski. W tym zakresie działalność Związku jest wyczulona na te aktualne zadania i stara się je w miarę możliwości wypełniać, dążąc do podniesienia i upowszechnienia kultury w odległych nawet od centrów ośrodkach prowincjonalnych.

Przewagą liczebną wśród członków zdecydowanie stanowią historycy sztuki (129), przy czym podkreślić należy poziom i fachowość członków Związku, który liczy w swym gronie 67 profesorów i docentów szkół akademickich oraz 31 dyrektorów muzeów polskich. Umożliwia to w znacznym stopniu rozwinięcie działalności naukowej oraz wyższy poziom akcji kulturalno-oświatowej.

Spośród rozmaitych przejawów działalności Związku na specjalną uwagę zasługują rozpoczęta na większą skalę akcja wystaw objazdowych, stosowana poprzednio w niewielkim zakresie przez kilka większych muzeów polskich. O ile jednak tamte imprezy dotyczyły głównie większych ośrodków

miejskich, szukając bazy w pokrewnych muzeach, o tyle zapoczątkowana przez Związek akcja wyznacza trasy wystaw w terenie bynajmniej nie utartym szlakiem, obejmując swym zasięgiem i okolice bardziej oddalone od ośrodków kulturalnych. W pierwszym rzędzie uwzględnione tu być muszą województwa wschodnie, obejmujące 23 proc. powierzchni Polski, a posiadające na tym obszarze tylko 6 muzeów, oraz Ziemię Odzyskaną, gdzie Mazury, Warmia domagają się akcji bardziej nasilonej.

Wystaw objazdowych projektuje się na rok bieżący 6 (Kopernik, Kościuszko, Mickiewicz, Warszawa, malarstwo polskie, sztuka starożytna). Nasuwa się uwaga, że trasy objazdowych wystaw winny uwzględnić szerszej ziemię podlaską, mocno zaniedbaną w zakresie imprez kulturalnych, oraz dawne nasze wybrzeże, gdzie punkty wystawowe w Gdyni i Wejherowie nie są dostatecznym nasileniem akcji na tym terenie. Należałoby przynajmniej uwzględnić jeszcze Puck, którego Gdynia, jako bardziej oddalona i stanowiąca dziś ośrodek miejski o dużej konkurencji imprez tego rodzaju, nie zastąpi, gdy idzie o ludność miejscową.

Program wystaw objazdowych obejmuje zarazem akcję wydawniczą (przewodniki w nakładzie 50,000 egz.) oraz odczytowa. Związek posiada własny organ pt. „Ochrona zabytków” (kwartalnik wychodzący w Krakowie) oraz wydawnictwo, dające obraz działalności Związku „Pamiętnik Związku Historyków Sztuki i Kultury”. Projektuje się również wydawanie biuletynu miesięcznego w nakładzie 350 egz., zawierającego materiały sprawozdawcze dla członków.

Oddział warszawski zabiega o uzyskanie na siedzibę Związku dwóch kamieni zabytkowych na Rynku Starego Miasta: kamienicy Fukierów i ks. Mazowieckich. Rozwiązałyby to sprawę pomieszczeń na biuro, wystawy,

zebrania członków oraz pomieszczenia dla członków przyjezdnych i mieszkania przynajmniej dla kilku pracowników warszawskich.

Szeroko prowadził również Związek akcję organizowania domów wypoczynkowych dla swych członków. Akcja ta osiągnęła pożądane wyniki, gdyż dając możliwość wypoczynku lub spokojnej pracy w domach Związku, zarazem pozwoliła roztoczyć opiekę nad kilkoma zabytkowymi obiektami (zamki w: Łañcucie, Dębnie pod Wojniczem, Łagowie na Z. Lubuskiej, willa „Witkiewiczówka” w Zakopanem).

Przy tej okazji wywiązała się ożywiona dyskusja na temat wykorzystania dla celów użytkowych tak wielkiego obiektu jak np. zamek w Łañcucie. Dyr. Lorentz wyjaśnił, jakie zadania mają tego rodzaju zabytkowe obiekty do spełnienia w dzisiejszej kulturze i dążeniu do jej upowszechnienia, a zarazem jak muszą być chronione, jeśli tę rolę mają odegrać. Jeśli idzie o zamek w Łañcucie, to z jednej strony stanowi on ośrodek muzealny, dostępny dla zwiedzających, zawierający wiele cennych obiektów (obrazy, meble, ceramika, rzeźby etc. oraz wspinały park), bibliotekę, archiwum, a jednocześnie wykorzystywany już był wielokrotnie na liczniejsze zjazdy związków i towarzystw kulturalnych. Niewątpliwie w roku 1950 działalność kulturalna, której ośrodkiem stanie się zamek w Łañcucie, zyska jeszcze bardziej na intensywności. Zamek będzie gościł teatr objazdowy, a ponieważ w samym zamku zachował się teatr z małą scenką i widownią jeszcze z końca XVIII w., tym większe pole do popisu takie ramy stwarzają. Poza tym w roku przyszłym przypada sześćsetna rocznica założenia Łañcuta, więc z tej okazji projektuje się szereg imprez kulturalnych.

Wśród głosów dyskusji i wniosków na Zjazd zgłoszonych wymienić należy dezyderat zgłoszony przez prof. Molę:

o uwzględnienie problematyki słowiańskiej w pracach naukowych i badaniach oraz o współpracę z uczonymi i młodzieżą w Czechosłowacji, dalej wniosek dra Chmarzyńskiego, by rozszerzyć tematykę w wystawach objazdowych w kierunku zaznajamiania się z kulturą Ziem Odzyskanych. Poruszona już w r. ub. w referacie doc. Gieyszтора sprawa przygotowania się do obchodu Millenium była ponownie omawiana i ze względu na aktualność prac w tej mierze terenowych wpłynął nawet wniosek, by przyszły Zjazd odbył się na Śląsku*).

Na zakończenie w dłuższym przemówieniu dyr. Lorentz sprecyzował zadania i streścił działalność Związku.

Jak zazwyczaj w czasie zjazdów tego rodzaju odbyły się specjalne wyieczki dla uczestników Zjazdu w dużym promieniu od miejsca obrad dla zapoznania się z ważniejszymi zabytkami tego terenu i przedyskutowania związanych z nimi problemów. Zwiedzono Przeworsk, Jarosław, Przemyśl, Krasiczyn, Zarzecze i klasztor bernardynów w Leżajsku. Konserwator gen., prof. Zachwatowicz oraz dr Hornung, b. konserwator tych terenów, w wygłoszonych referatach scharakteryzowali cechy odrębne zabytków w woj. rzeszowskim i naświetlili zarówno ich wartość naukową jak i problemy, które nasuwa zachowanie i wykorzystanie tych zabytków.

St. M. Sawicka (Warszawa)

„FRYDERYK CHOPIN”. WYSTAWA W MUZEUM NARODOWYM

Bogaty program Roku Chopinowskiego w Polsce zakończył Międzynarodowy Konkurs Chopinowski oraz trwająca obecnie w warszawskim Muzeum Narodowym wystawa „Fryderyk Chopin”. Montaż tej wystawy daleko odbiega założeniem ideowym od szablonowych pokazów biograficznych, a umiejętna klasyfikacja faktów historycznych rozszerzyła zakres dotychczasowej wiedzy o Chopinie. Zamiarem organizatorów wystawy było przedstawić Chopina jako człowieka i twórcę, ukazać ludowe i patriotyczne źródła jego twórczości; zobrazować stuletnie dzieje kultu Chopina. Chodziło także o zaznaczenie, jak bardzo Chopin stał się symbolem pokojowej pracy narodów. Tak maksymalnie określone zadania zostały zrealizowane całkowicie. Cel osiągnięto operując bardzo prostymi środkami ekspozycyjnymi: montażami fotograficznymi, cytata-

i ikonografii z epoki mającej podstawowe znaczenie dla określenia nurtów światopoglądowych w czasach, w których żył i tworzył Chopin. Montaż ten osiąga niekiedy powagę monumentalności zgodną zupełnie z charakterem twórczości wielkiego kompozytora. Pokaz ten stał się czymś w rodzaju pisanej i bogato ilustrowanej monografii traktującej życie i twórczość Chopina z rozmaitych punktów widzenia. W kontekście tak pomyślanej ekspozycji wiele ukazanych „pamiątek” Chopinowskich nabrało należytego znaczenia. Pomyślnie rozwiązano również zagadnienie reprodukcji portretów Chopina, których z powodu trudności natury technicznej nie udało się pokazać na wystawie. W ten sposób prawie całkowita ikonografia Chopina udostępniona została zwiedzającym. Przed omówieniem poszczególnych eksponatów wspomnieć należy fakt, dzięki któremu staliśmy się właścicielami kilku cennych autografów kompozycji Chopina. W dziesiątą rocznicę hitlerowskiego napadu na Polskę, który zapoczątkować miał

*) Poruszono też sprawę kontaktowania się w akcji odczytowej z Pol. Tow. Krajoznawczym oraz wciągnięcia do tej akcji młodzieży.

między innymi systematyczny proces niszczenia polskiego dorobku kulturalnego, Niemiecka Rada Ludowa w Berlinie przekazała na ręce Prezydenta B. Bieruta autografy Chopina znajdujące się w Bibliotece Państwowej w Berlinie.

Wystawę otwiera montaż fotograficzny symbolizujący ziemię polską, w którą wkomponowano znak Roku Chopinowskiego. Wstępną część pokazu stanowią zebrane autentyki sztuki ludowej mającej podkreślić ludową genezę twórczości Chopina. Uzupełni je opracowana graficznie mapa rozmieszczenia grup etnicznych wokół ziem najczęściej przez Chopina odwiedzanych. Podkreślano przy tym najsilniejsze oddziaływanie kulturowe Kujaw i Pomorza. Ta inspiracja muzyki ludowej w twórczości Chopina usymbolizowana fryzem z drzeworytów o tematyce ludowej nabiera w końcu akcentów proletariackich.

Na planszach widnieją reprodukcje portretów Chopina i współczesnych wielkości z otoczenia kompozytora. Zilustrowano również wydarzenia polityczne, które silnym echem odbiły się w życiu Chopina. Plansze te uzupełnia zespół chopinianów, jak karykatury wykonane przez Chopina, fragmenty epistolografii, autografy kompozycji. Mapa pokazuje miejscowości, w których Chopin przebywał. Oprócz znanych miejscowości w Wielkopolsce zaznaczono na mapie również pobyt kompozytora w Celichowie (obecny Sulechów w Ziemi Lubuskiej) w roku 1828. Mapa ta rozpoczyna okres peregrynacji dobrowolnej a z ducha przymusowej emigracji Chopina. Pod planszą ilustrującą jeden z etapów jego iti-

nerarium do Paryża — pobyt w Stuttgarcie, gdzie otrzymuje wiadomość o wybuchu powstania listopadowego w Warszawie — mieści się w pulpitowej gablocie autograf Preludium op. 28 nr 24 (tzw. rewolucyjnego). Napisy objaśniające plansze, podkreślają zasadnicze momenty w życiu kompozytora w myśl programowych założeń wystawy. Jakże słuszne wydaje się zaakcentowanie faktu, że mimo kosmopolitycznego charakteru środowiska paryskiego Chopin nie odcina się od kraju, utrzymując żywe stosunki z emigracją polską i jej demokratycznym odłamem. Dalsze plansze uzupełniają biografie Chopina.

Drugi dział wystawy stanowi dzieje idei chopinowskiej, kult jego w Polsce oraz przedstawia Chopina jako symbol pokojowej pracy narodów. Dział ten wypełniony jest całkowitą bibliografią poświęconą Chopinowi. Pamiatki związane z życiem kompozytora rozpoczyna fortepian Pleyela, który był własnością Chopina w ostatnich dwóch latach jego życia. Dzieje idei chopinowskiej pokazano na tle istotnych przemian politycznych i społecznych, zamykające się w granicach lat 1849—1949. Polska ludowa reprezentowana jest monumentalnym w swym wyrazie fotomontażem na znacznie powiększonym zdjęciu tłumu ludu umieszczono mniejsze fotografie uzmysłowiające dziedziny naszego życia, w których muzyka Chopinowska pełni swą służbę szlachezną.

Muzyka Fryderyka Chopina nadawana na wystawie przez megafony właściwie ilustruje ideę przewodnią całej wystawy.

Stanisław Wiliński (Warszawa)

WROCLAW MIASTO ORGANÓW

Muzyka organowa w Polsce ciągle jeszcze jest niedoceniana. Szeroki ogół nie zapoznał się z organami jako instrumentem koncertowym. Powodem tego

są przede wszystkim dwie przyczyny: organy są uważane na ogół za instrument, służący do celów wyłącznie liturgicznych, a przede wszystkim — Pol-

ska nie posiadała dostatecznej ilości organów nadających się do celów koncertowych. Zaledwie w kilku największych ośrodkach muzycznych sale filharmonii wyposażane były w te instrumenty, specjalnie zaś koncerty muzyki organowej w kościołach były zjawiskiem bardzo rzadkim, nie mówiąc o tym, że bardzo niewiele kościołów posiadało wielkie organy koncertowe. Zniszczenia wojenne znacznie uszczupliły jeszcze ten stan posiadania.

Szeroką sławą cieszą się wielkie organy w Oliwie, uważane za największe w Polsce. Mało kto wie, że we wrocławskim kościele św. Elżbiety znajdują się jeszcze większe i niezrównanie lepiej wyposażone organy o wspaniałej barokowej dyspozycji i niezwykle szlachetnym dźwięku. Budowę tego „królewskiego instrumentu” rozpoczął w 1752 r. słynny budowniczy organów Michał Engler, po jego śmierci pracę podjął syn Englera Beniamin i ukończył ją 27 września 1761 r. W 1806 r., w czasie oblężenia Wrocławia przez wojska francuskie, kościół św. Elżbiety został zbombardowany, a uszkodzone organy doprowadził do poprzedniego stanu znowu Beniamin Engler. W ciągu wieku dokonywano wielu przeróbek i „ulepszeń”, które znacznie obniżyły wartość artystyczną i dźwiękową tego wspaniałego instrumentu. Na szczęście nie naruszono Englerowskiego systemu piszczałek. Dopiero w latach 1939—1941 Wilhelm Sauer zrekonstruował je według planów Englera i przywrócił dawny wygląd i właściwości brzmienia, instalując równocześnie trakturę elektryczną, to jest połączenie klawiatury z piszczałkami.

Organ w obecnym stanie posiadają około siedmiu tysięcy piszczałek najszlachetniejszej budowy barokowej. Wiatrownice — urządzenie rozdzielające powietrze na poszczególne piszczałki, względnie na grupy piszczałek — zbudowane są systemem zasuw-

kowym, zezwalającym na równomierne zasilanie powietrzem piszczałek. System ten, właściwy instrumentom barokowym, w przeciwieństwie do nowszych wiatrowpic stożkowych — daje niezwykłą śpiewność i miękkość tonu. Organ w kościele św. Elżbiety są największymi organami w Europie, o wiatrownicy zasuwkowej, co stawia je na czele wszystkich organów świata.

Kontuar wyposażony jest w cztery manualy, czyli klawiatury ręczne i klawiaturę pedałową. Sto trzy registry, czyli głosy, pozwalają na dowolną zmianę barwy tonu — od głosu trąb, puzonów, rogów, fletów, cymbałów, oboi, dzwonek, śpiewu ptaków, vox humana do skrzypiec i violi da gamba. Niesposób zresztą wyliczyć wszystkich barw brzmienia, w niezliczonych kombinacjach na przestrzeni ośmiu oktaw. Jedenaście pomocniczych łączników służy do dowolnego łączenia manuali i pedału. Przy pomocy sześciu wolnych kombinacji nastawiać można najbardziej skomplikowane „mieszanki” brzmień, aby za jednym pociśnięciem guzika przerzucić się z jednej w drugą, bez mozolnego, każdorazowego nastawiania poszczególnych głosów. Dowolnie ustawiany walec, poruszany nogami, pozwala na wzmacnianie względnie osłabianie dźwięku (crescendo i decrescendo) przez włączanie i wyłączanie poszczególnych partii piszczałek. Poza tym w specjalnie wmontowanym w kopule kościoła zespołe piszczałek (tzw. „Echo”) istnieje urządzenie uchylające i przymykające żaluzję skrzyni, w której zamknięte są piszczałki, co też daje złudzenie wzmacniania i ściszenia tonu. Trzy registry włączają urządzenie wprawiające powietrze w drganie, co powoduje tzw. tremolowanie tonów.

Ażeby sobie zdać sprawę z piękną dźwięków niezwykle bogactwa, zróżnicowania barwy i szlachetnego współbrzmienia zmieszanych głosów, trzeba

usłyszeć te organy, gdyż opis nie może dać wyobrażenia o pełni dźwięku pryncypatu, spokojnego śpiewu fletów, czystości brzmienia tzw. trąb, dźwięczności głosów solowych i potędze tutti.

Brzmienie organów jest mistrzowsko dopasowane do warunków akustycznych kościoła, tak że nigdy nawet przy pełnym dźwięku fortissima wszystkich głosów, gra na nich nie robi wrażenia podobnie przytłaczającego jak np. w kościele oliwskim.

Całość uzupełnia niezwykle estetyczna, czysta w stylu zewnętrzna szata organów, czyli tzw. prospekt. Niestety organy te są obecnie nieco zaniedbane, wiele głosów brzęczy. Należałoby zajęć się konserwacją tego niezwykle cennego instrumentu, stanowiącego ogromną wartość nie tylko jako instrumentu koncertowego, ale również jako zabytek kultury XVIII wieku.

Poza organami w kościele św. Elżbiety Wrocław posiada jeszcze przepiękne barokowe organy w kościele uniwersyteckim, wyposażone w trzy manualy, dwie wolne kombinacje i czterdzieści sześć głosów. Koncertowy ten instrument znajduje się w bardzo dobrym stanie. Jego szlachetny ton znają zapewne czytelnicy z koncertów radiowych w wykonaniu prof. Władysława Oświeci. Niestety organy te posiadają trakturę pneumatyczną, co powoduje pewne opóźnianie odzywania się tonów. Wada ta jest szczególnie dotkliwa w koncertach organowych z towarzyszeniem orkiestry. Mimo to koncerty takie pod dyrekcją Zygmunta Szczępańskiego, dostarczają pierwszorzędnych przeżyć artystycznych i są obecnie jedynymi tego rodzaju audycjami w Polsce, pozwalającymi na zapoznanie słuchaczy z dziełami wielkich mistrzów klasycznej muzyki organowej.

W auli Politechniki Wrocławskiej znajdują się organy, budowane przez czechosłowacką firmę Riegera, o dwóch

manualach i dwudziestu ośmiu registrach. Już zrekonstruowano największe w Polsce organy na sali koncertowej w wielkim Studio Polskiego Radia. Remontu dokonał pod nadzorem inż. Pafary, kierownika technicznego rozgłośni wrocławskiej, oraz prof. Władysława Oświeci były współpracownik słynnej firm organowej Tirau. Rekonstrukcję ruchomego kontuaru wykonał konserwator instrumentów P. R. Garmada. Organy te o dyspozycji barokowej posiadają ponad trzy tysiące piszczałek, trzy manualy, czterdzieści sześć głosów, dwie wolne kombinacje, trakturę elektryczną. U uruchomienie ich pozwala na organizowanie wielkich koncertów organowych i otwiera duże możliwości wykonywania najwspanialszych dzieł z literatury organowej z stowarzyszeniem orkiestry i chórów.

Wrocław stanie się wielkim ośrodkiem muzyki organowej. Mamy nadzieję, że poza miejscowymi wirtuozami gry organowej prof. Oświeci i prof. Bidzińskim usłyszymy na festiwalach organowych, które niezawodnie będą we Wrocławiu organizowane, innych polskich wirtuozów, jak Bronisława Rutkowskiego, Feliksa Rączkowskiego, Jana Kucharzskiego, Chwedczuka. Muzyka organowa nareszcie stanie się własnością wszystkich, zacznie być doceniana na równi z muzyką symfoniczną i kameralną.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć o największych w Europie organach z wrocławskiej Hali Ludowej, które zostały uszkodzone przez działania wojenne. Ołbrzymi ten instrument o siedemnastu tysiącach pięćset sześćdziesięciu piszczałkach, dwustu dwudziestu czterech registrach i pięciu manualach, z ruchomym kontuarem, nadaje się jeszcze do rekonstrukcji. Koszt renowacji obliczony został na

piętnaście milionów złotych. Nie jest to tak zawrotna suma, ażeby trzeba było aż zrezygnować z odnowienia tego niezwykłego instrumentu, zwłasz-

cza, że znajduje się on w sali mogącej pomieścić ponad dwadzieścia pięć tysięcy słuchaczy.

Wojciech Dzieduszycki (Wrocław)

* * *

Zapowiedź imprez artystycznych poświęconych muzyce organowej we Wrocławiu warto uzupełnić sprawozdaniem z wartościowego w tym zakresie przedsięwzięcia. W dniu 23 lipca br. odbył się reprezentacyjny koncert inauguracyjny, w czasie którego odezwały się organy w Wielkim Studio. Wspomniany już zespół pracowników Polskiego Radia oddał społeczności muzycznej orestaurowane organy. Ważny ten dzień połączył się ze Świętem Lipcowym. Trudno nie uznać nie tylko celowości tego czynu, ale i szlachetnej ambicji renowatorów.

Był to najefektowniejszy koncert na sporej przestrzeni imprez artystycznych, a ocenić prawdziwość tej opinii mogli słuchacze całej Polski, jako że pierwsza część koncertu była transmitowana na wszystkie rozgłośnie.

W koncercie wystąpili: prof. Feliks Rączkowski, prof. Władysław Oćwieja oraz chór mieszany Polskiego Radia i orkiestra symfoniczna pod dyrekcją Kazimierza Wilkomirskiego.

Program obejmował utwory na organy i orkiestrę, na organy, orkiestrę i chóry, wreszcie występy solowe organów. W pierwszej części koncertu odegrano uverturę do opery „Alcesta” Glucka (jest to właściwie dramat liryczny), koncert organowy z towarzyszeniem orkiestry, napisany przez Guilmanta, francuskiego kompozytora z epoki poromantycznej, utwór Nowowiejskiego „Ojczyzna” na chór, orkiestrę i organy.

Część druga poświęcona była czystej muzyce organowej, a więc: „Symfonia na organy” L. Wierna, tj. preludium i finale, „Fantazje” Lindsneya, „Wa-

riacje organowe” Rączkowskiego i na bis improwizacja na motywach fugi Oćwiei.

Konstrukcja programu wykazuje, że koncert przygotowany z wielką starannością o wszystkie szczegóły na świadomy dobór środków muzycznego oddziaływania. Układ ten nie był banalny. Można by dopatrzeć się niejakej syntezy historycznej, zakreślonej oczywiście paroma wielkimi skrótami. Program określił bogate możliwości zastosowania muzyki organowej w powiązaniu z orkiestrą czy z chórami; z drugiej strony ukazał wielką różnorodność rodzajów tej muzyki, od opery, przez zespolenie jej ze śpiewem chóralnym stojącym na pograniczu typu oratoryjnego, do ujęć modernistycznych włącznie.

Niemalym plusem było zarezerwowanie miejsca na twórczość rodzimą, współczesną. Prof. Rączkowski przedstawił swoje wariacje organowe, twórcę kompozytora opanowanego, Prof. Władysław Oćwieja, orędownik sprawy organowej we Wrocławiu, ujawnił w improwizacji doskonałą technicznie grę i porywisty temperament.

Nie można dość silnie podkreślić sensu tej imprezy, która swoją odrębnością i nowością w polskim życiu muzycznym wysunęła się na czoło wybitniejszych wydarzeń. Przepelniona po wręby sala zadokumentowała najlepiej, że organy zdobyły sobie słuchacza świeckiego, słuchacza świadomego swoich życzeń i wymagań. Jeżeli prawdą jest powiedzenie że muzyka należy do sztuki najbardziej abstrakcyjnych i jednocześnie najprymitywniejszych, bo dosięga odbiorcę masowego z równą

łatwością jak i wytrawnego, to chyba potwierdzenie znajdzie się właśnie w odniesieniu do rodzaju przez nas omawianego. Pozornie niepopularne (przynajmniej u nas) organy dysponują ogromną łatwością wywoływania wzruszenia artystycznego, mogą zatem dawać typ muzyki demokratycznej, masowej. Doświadczenia historyczne i współczesne zdają się stać po stronie tego mniemania.

Na zakończenie jedna prywatna wypowiedź: Wrocławianie mogliby być mocno „zepsuci” pod tym względem, w jakimże bowiem mieście polskim można znaleźć taką wielość wrażeń, jeśli mowa o muzyce organowej? Niestety, na razie przynajmniej, zepsucie nie zakreśliło zbyt szerokiego koła. A przecież w „gardle” organów wrocławskich leży złoto najcenniejszego gatunku.

Wanda Reszkowska (Wrocław)

ZNACZENIE WROCŁAWSKIEGO OŚRODKA HISTORYCZNEGO W PLANIE ZAGOSPODAROWANIA

Odłożyliśmy ołówki, farby, przekładnice, pędzle i cyrkle. Odsunęliśmy od siebie deski rysunkowe, trójkąty, stopy obliczeń i danych statystycznych. Jednocześnie odetchnęliśmy pełną pierśią, jak ludzie, którzy dokonali dzieła wymagającego długotrwałego wysiłku. Przed nami leżały wykończone plansze Planu Zagospodarowania Zespołu Miejskiego miasta Wrocławia. Czystą bielą błyszczały nowe projektowane arterie komunikacyjne, naniesione na stary plan miasta zieleniły się parki i ogrody, błękitniała Odra, mocnym fioletem drażniły oko pasy przemysłowe, ezerwieniły się ośrodki kultury, różnymi tonami sepii mieniły się tereny mieszkalne o niejednakowej intensywności zabudowy, a nade wszystko spośród różnobarwnych plam całego planu wyłaniał się swoją charakterystyczną sylwetą historyczny ośrodek starego miasta.

Był to dzień 1 lipca 1949 r., zamykający pewien etap w historii Wrocławia, data skromna, nikomu prawie nieznaną, nieefektowna, a jednak ważna dla gospodarki miejskiej, ujmująca od-tąd we właściwe normy życie trzysto-tysięcznego zespołu ludzkiego, który z początkowej raczej, przypadkowej kolonizacji z roku 1945 osiągnął moż-ność uregulowania zagadnień demo-

graficznych, kulturalnych, społecznych, komunikacyjnych, mieszkaniowych, zaopatrzeniowych, usługowych i pla-stycznych.

Pięciu nas było architektów-plani-stów, którzy doprowadzili przy pomocy również nielicznego zespołu techniczne-go dzieło to do końca¹⁾. Początek był niezwykle i zaczął się w pamiętnym roku 1945. Byliśmy świadkami frag-mentu niebywałej w dziejach pod względem rozmiarów i szybkości — kolonizacji terenów Ziemi Odzyska-nych, która w gigancie miejskim, ja-kim jest Wrocław, napotkała na szcze-gólne trudności. Dziś mało kto może zdać sobie sprawę, że nie było wtedy we Wrocławiu ani jednej całej szyby, ani jednego całego pokrycia dachowe-go, ani jednego domu, nadającego się w normalnych warunkach do zamiesz-kania, ani jednego tramwaju; nie było gazu, ani elektryczności, wodociągów ani kanalizacji, nie było zdolnych do użytku chodników ani jezdnii, były jedynie dymiące jeszcze ruiny i gruzy, a powietrze przesiąknięte było zapa-chem rozkładających się trupów. Na ulicach leżały szezątki mebli, książek,

¹⁾ Anna Ptaszycka, Tadeusz Ptaszycki, Marian Steczowicz, Janusz Szabłowski i niżej podpisani.

a czasem bezcennych dzieł sztuki, wraki samochodów, powyginane od pożaru żelastwo, niewypalone pociski, porzucane słupy tramwajowe.

W takim okresie i w takich warunkach rozpoczęliśmy studia nad tym pięknym i nieznanym nam miastem, w którym nowe życie kielkować zaczęło w sposób najbardziej przypadkowy, nedorzeczny, a czasem brutalny. To życie należało okiełznać i należało nadać mu rozsądny pod względem gospodarki planowej kierunek.

Podeszliśmy do spraw urbanistycznych Wrocławia jak badacze uzbrojeni w naukowe systemy i metody. Zimno, obiektywnie staraliśmy się opiniować o narastających splotach zagadnień, a to bezwładne, ciężko zrąbane ciało organizmu miejskiego staraliśmy się ożywić, jak lekarz swojego pacjenta na stole operacyjnym. Czasem się jednak zdarza, że lekarz w walce o przywrócenie zdrowia choremu zaangażuje się również uczuciowo. Przeżywa wówczas nieraz intensywniej od swojego pacjenta wszelkie niepokoje i nadzieje związane ze zmianą stanów chorobowych.

To samo stało się z nami. Wrocław szybko przestał być dla nas obiektem dociekań naukowych, natomiast stał się czymś bardzo dla nas istotnym, bliskim naszemu sercu, czymś, co nas pasjonuje i staje się niemal treścią naszego życia. Po prostu zakochaliśmy się w tym mieście. Czym to zostało spowodowane? Oto spośród rumowisk i zgłiszcz wyłaniało się okaleczone często zmasakrowane piękno architektury minionych wieków, dziwnie nam bliskie i cenne, dostojnym milczeniem dopominające się ocalenia. Oto spośród zworników sklepień spoglądały na nas orły o tym samym kształcie i upierzeniu, na jakie od dziecka przywykliśmy spoglądać ze czcią najwyższą. Oto masyw kościoła Bożego

Ciała, jakby przeniesiony z Krakowa kościół Dominikanów przemawiał do nas najbardziej zrozumiałym językiem. Oto miejsce, z którego Kazimierz Wielki spoglądał na wmurowywanie kamienia węgielnego pod kościół św. Stanisława i Doroty, budziło w nas świadomość, że nie na obcej ziemi jesteśmy. Dalej Ostrów Piaskowy, Ostrów Tumski, kościół Panny Marii, katedra i kościół św. Krzyża, miejsca, które oparły się zastępom tatarskim, ciągnącym na Legnicę mającym we wsi Dobro Pole rozbić rycerstwo Henryka II. Albo mury kościoła św. Marcina, wśród których modlił się Kazimierz Odnowiciel, lub mury wielu innych kościołów tak ściśle związanych z naszą historią.

To wystarczyło, aby jedną z czolowych dyrektyw Planu Zagospodarowania było ocalenie ośrodka historycznego przed dewastacją, jaką mu normalnie niesła w czasach kapitalizmu rozwijająca się szybko komunikacja i rozbudowa bloków o charakterze handlowo-biurowym.

Za czasów niemieckich arterie tranzytowe przebiegały przez wąskie uliczki średniowiecznego ośrodka krzyżując się na Rynku; w konsekwencji tego następowało poszerzanie ulic i deformacja zabytku urbanistycznego, jakim jest średniowieczny plan miasta. Ze względów gospodarezo-koniunkturalnych nie cofano się przed barbarzyństwem, jakim było burzenie zabytkowych kamienie mieszkańskich, po to, aby wystawić — jak na przykład na Rynku — wielopiętrowy wieżowiec brutalnie niszczący harmonię dawnego układu wysokościowego i pozbawiający jeden z najpiękniejszych ratuszy w Europie jego dominującego na Rynku charakteru.

Zdaliśmy sobie sprawę, że są pewne nieodwracalne procesy w historii, że wprawdzie uda nam się wyeliminować z zabytkowego śródmieścia

tramwaje, ale konnych karoc z powrotem tam nie wprowadzimy, wprowadzimy natomiast samochody i autobusy, a to pociąga za sobą niewzruszalną konsekwencję. Mielśmy dalej do wyboru: czy narzucić ośrodkowi historycznemu charakter muzealnej pamiątki i skazać go na charakterystyczną martwość, jaka cechowała np. rynek warszawski w odróżnieniu od krakowskiego, czy też wprowadzić formy życia, analogiczne do dawnych, nie wyeliminowując średniowiecznego miasta z całokształtu życia gospodarczego. Wybraliśmy tę drugą alternatywę, w wyniku czego Stare Miasto wrocławskie będzie ześrodkowaniem ognisk kultury z mieszkalnictwem, z administracją miejską z rzemiosłem i z drobnym przemysłem, a w swojej północno-wschodniej połaci wytworzy dzielnicę o charakterze wyłącznie akademickim, na przestrzeni pomiędzy gmachem Uniwersytetu a Nowym Targiem. Układ ten będzie zgodny z tradycją historyczną dawnego Wrocławia i — aczkolwiek dostatecznie ożywiony — będzie wymagał pewnej zaciszności, a ściślej mówiąc, wyeliminowania szybkiego ruchu tranzytowego poza obręb fos miejskich.

Dlatego Plan Zagospodarowania przewiduje na zachód i na wschód od Starego Miasta zmianę układu urbanistycznego przez wytworzenie dwóch ulic, a mianowicie pierwszej w kierunku Jelenia Góra — Poznań — Szczecin, drugiej w kierunku Jelenia Góra — Warszawa. Obie omijając będą, jak już powiedziano Stare Miasto, ujmując je w 2 widła wychodzące z Placu Powstańców Śląskich i rozchodzące się w północnej części miasta na północny zachód i północny wschód. Dookoła rdzenia średniowiecznego wytworzy się tzw. okolnica, która wchłonie w siebie jako w pętlę m. in. ruch tramwajowy i szybką komunikację miejską. Ta okolnica pokrywać się będzie

z pasem zieleni, który otoczy Stare Miasto, izolując je w pewnej mierze od pozostałych dzielnic.

W ośrodku historycznym mieszkać będzie 21 tysięcy ludzi, przy czym celem mieszkaniowym służyć również będą mieszczańskie budynki zabytkowe, które zachowując dokładnie swoją dawną zewnętrzną formę architektoniczną, przystosowane zostaną wewnętrznie do nowoczesnych potrzeb mieszkaniowych. Oficyny w zasadzie będą zniesione, do wewnątrz bloków wprowadzona zostanie zieleń w formie warzywnictwa, sadów lub kwietników, niwelując w ten sposób dotychczasowe różnice pomiędzy dawnym pojęciem śródmieścia a dzielnicami wyłącznie mieszkaniowymi. W północno-wschodniej części ośrodka historycznego, jak zaznaczono uprzednio, powstanie dzielnica akademicka, gdzie znajdzie pomieszczenie około 5 tysięcy studentów.

Przy Placu Dominikańskim powstanie ośrodek administracji miejskiej, wytwarzając os. Dworzec Główny — Zarząd Miejski, w którą przekształci się poszerzona ulica Piotra Skargi. Plac Solny będzie centrum administracyjnym a Rynek zachowa swój charakter jako ośrodek kulturalny.

Takie są plany, które mają być realizowane w najbliższym sześcioleciu. Specjalny nacisk położony będzie na to, aby ograniczyć wysiłek inwestycyjny w pierwszym etapie do śródmieścia, celem zrealizowania jego odbudowy, zlikwidowania ruin, uporządkowania go i prawidłowego zagospodarowania. Ze względów propagandowo-politycznych da to w swoim końcowym efekcie dużo większe korzyści aniżeli rozpraszanie inwestycji wśród olbrzymiego terenu Wrocławia, gdzie one są trudno dostrzegalne wśród morza ruin i gruzów.

Emil Kaliski (Wrocław)

XIII ZJAZD POLSKIEGO TOWARZYSTWA JĘZYKOZNAWCZEGO WE WROCŁAWIU

Polskie Towarzystwo Językoznawcze liczące ponad 50 członków urządziło doroczny swój XIII zjazd we Wrocławiu. Był to drugi powojenny zjazd, gdyż XII odbył się w Krakowie w grudniu 1947. Zjazd był licznie reprezentowany przez wszystkie ośrodki uniwersyteckie. Z Krakowa przybyli profesorowie: K. Nitsch, T. Lehr-Spławiński, Z. Klemensiewicz, J. Kuryłowicz, T. Milewski, R. Ingarden, R. Stopa, St. Wilmann-Grabowska, doc. dr Fr. Sławski, dr M. Molé, mgr M. Brodowska; z Warszawy — profesorowie W. Doroszewski, Z. Rysiewicz, doc. H. Świdorska-Koneczna, doc. A. Obrebska-Jabłońska, doc. S. Skorupka; z Poznania — profesorowie M. Rudnicki, S. Urbańczyk, I. Stein, L. Zabrocki; z Łodzi — prof. Z. Stieber, dr K. Dejna; z Torunia — prof. E. Słuszkiewicz i S. Hrabec, dr Mirowicz; z Lublina prof. M. Dłuska; z Wrocławia — profesorowie W. Kuraszkiewicz, L. Ossowski, S. Rospond i dr S. Bąk.

Ogółem biorąc, wszyscy profesorowie, docenci i asystenci, członkowie Towarzystwa, brali udział. Gospodarzem zjazdu był Instytut Filologii Polskiej i Słowiańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.

20 zgłoszonych referatów podzielono według zagadnień. W pierwszym dniu obrad, tj. dn. 5 czerwca, prezes Towarzystwa prof. J. Kuryłowicz i sekretarz prof. Z. Klemensiewicz złożyli sprawozdanie z działalności Towarzystwa, a skarbnik prof. T. Milewski sprawozdanie finansowe. W imieniu nieobecnego rektora i dziekana Wydz. Humanistycznego powitał zjazd prodziekan prof. L. Ossowski.

Na wspólnym z równoczesnym zjazdem Pol. Tow. Orientalistycznego posiedzeniu wygłoszono 3 ogólne refera-

ty: 1. T. Lehr-Spławiński: „Zagadnienie tzw. prajęzyków”, 2. W. Doroszewski: „Czynnik świadomości w ewolucji języka”, 3. T. Milewski: „Typologia języków”.

Prof. T. Lehr-Spławiński, podkreślając poważne osiągnięcia nauki radzieckiej (Marr, Mieszczaninow) w dziedzinie zagadnień ogólnojęzykoznawczych morfologicznych i składniowych, zreferował problem tzw. prajęzyka. Niewątpliwie językoznawcy radzieccy, stając na stanowisku konwergencji, teorii scalania, mają słuszną tezę i ten proces istnieje w języku (wytwarzanie języków narodowych, literackich). Ale niewątpliwie da się też stwierdzić historycznie proces dywergencji (języki romańskie z łaciny), tj. rozczłonkowanie języków. Językoznawstwo radzieckie świetnie wyczuło jednostronność dotychczasowego językoznawstwa, stojącego na wyłączeniowym stanowisku repartycji, i dlatego słusznie zwróciło uwagę na moment scalania. Oba jednak procesy nie wykluczają się wzajemnie, lecz uzupełniają.

Prof. W. Doroszewski zwrócił uwagę na rolę czynnika świadomości w ewolucji języka. Już niejednokrotnie referent pod tym samym kątem widzenia rozpatrywał inne zagadnienia językowe, np. stabilizację nadmiernej ilości form fleksyjnych i s'owotwórczych pod wpływem czynnika świadomościowego. (Por. jego artykuł „Kategorie słowotwórcze” w Sprawozdaniach Polskiej Akademii Umiejętności, 1945, s. 49).

Prof. T. Milewski, autor 3-tomowej pracy pt. „Zarys językoznawstwa ogólnego”, w syntetycznym rzucie przedstawił kryteria typologicznego klasyfikowania języków świata. Języ-

koznawstwo coraz częściej z ciasnego podwórka zagadnień szczegółowych wkracza na szersze tory, badając strukturę fonologiczną nie tylko jednego języka, nie tylko jednej rodziny językowej, ale całych zespołów strukturalnych. Słowem, referentowi chodziło o klasyfikację języków, opartą na kryteriach strukturalnych, niezależnych od genetycznych. To ma być przedmiotem tomu III jego wyżej wspomnianej monumentalnej pracy.

Większość szczegółowych referatów ułożono według problemów: I. Sekcja Orientalistyczna. 1. S. Witkowski: „Język grecki na kresach arabskiej Istrii”. 2. J. Kuryłowicz: „Semicki system czasownikowy”. 3. Z. Rysiewicz: „Z zagadnień akcentuacji staro-indyjskiej”. 4. M. Molé „Problem lokalizacji języka awestyjskiego”.

II. Sekcja filologii wschodnio-słowiańskiej: 1. L. Ossowski „O zwięzonym lub dyftongicznym *o* w pewnych gwarach ruskich i zabytkach rosyjskich” (ze studiów nad akcentem rosyjskim); 2. W. Kuraszkiwicz „Mazurzenie w gwarze ruskiej pod Siemiatyczami”. 3. Bąk S. „Polonizmy w gwarze Łemków pod Gorlicami”, 4. K. Dejna „System fonologiczny języka ukraińskiego”.

W drugim dniu obrad, tj. dn. 6 czerwca, problem mazurzenia omówiony został przez prof. K. Nitscha: „Mazurzenie w świetle historii politycznej” oraz prof. S. Rosponda „Problem mazurzenia w oświetleniu filologicznym”.

Za dawnością mazurzenia przemawiają: zgodność izofon mazurzenia z dawnymi granicami plemiennymi oraz dane filologiczne, tj. drobniogowa analiza grafiki naszych najdawniejszych dokumentów i zabytków. Istnienie opozycji graficznej (Wielkopolska) lub jej brak (Śląsk, Małopolska, Mazowsze) przy dźwiękach *c — č s — š, z — ž* zależne było od czynnika

geograficznego i chronologicznego, eo ipso fonologicznego.

Problemem wersyfikacji polskiej zajęła się prof. M. Dłuska: „Z pogranicza sylabotonizmu i tonizmu”, a doc. S. Skorupka: „Z dziejów frazeologii polskiej” przedstawił wpływ biblii na frazeologię polską.

Dr P. Zwoliński: „Funkcja słowotwórcza elementu *slaw* w staropolskich imionach osobowych” zajął się szczegółem onomastycznym, tj. drugim członem staropolskich imion osobowych — *slaw*.

Popołudniowe posiedzenie wyczerpało zagadnienia składniowe: Prof. I. Stein: „Pojęcie i definicja zdania gramatycznego” oraz dr A. Mirowicz: „Wyrazy pomocnicze w systemie języka”. Na zakończenie doc. L. Zabrocki omówił problem fonetyki strukturalnej: „Z zagadnień fonetyki strukturalnej”, a doc. R. Stopa: „Mowa dziecka a rozwój mowy ludzkiej” przeprowadził paralelę pomiędzy rozwojem mowy ludzkiej w ogóle a mową dziecka, znajdując w nich podobieństwo rozwojowe.

W drugim dniu obrad zjazd powitał imieniem miasta Wrocławia wiceprzewodniczący MRN Rozgórski. Po każdym referacie wywiązywała się żywa dyskusja, przy czym przewodniczący prof. J. Kuryłowicz w syntetycznym, zwięzłym, niejednokrotnie krytycznym rzucie podsumowywał istotę referatu. Dzięki jego sprężystemu i energicznemu prowadzeniu obrad można było 20 referatów i dyskusje nad nimi zmieścić w ciągu dwóch dni.

Owoce zjazdu było przedyskutowanie problemów z zakresu językoznawstwa ogólnego i szczegółowego. Celem wypowiedzenia się na temat nowych, ministerialnych programów studiów polonistycznych, slawistycznych i ogólnojęzykoznawczych przedłużono zjazd na dzień trzeci, tj. na 7 czerwca.

Pocieszającym objawem był liczny i żywy udział młodych adeptów języ-

koznawstwa (Łódź — Warszawa — Kraków — Poznań — Wrocław), którzy naocześnie mieli sposobność nie tylko zobaczenia, ale i usłyszenia najwybitniejszych polskich językoznawców, znanych im dotychczas jedynie z ich prac.

W zjeździe wzięli udział goście zagraniczni, prof. uniwersytetu sofijskiego Andrejczin oraz docent uniwersytetu w Goeteborgu (Szwecja) Gunnar Jacobsson.

Stanisław Rospond (Wrocław)

Z ARCHIWUM FONOGRAFICZNYM UN. POZNAŃSKIEGO W POW.
BRZESKIM I NIEMODLIŃSKIM

Językoznawstwo współczesne w drodze do coraz dalszego uściślenia swoich eksperymentalnych metod badawczych rozporządza dziś doskonałą aparaturą fonograficzną, utrwalającą na płytach mowę ludzką. Ma to doniosłe, wprost przełomowe znaczenie w badaniach dialektologicznych. Nawet najczulsze, najbardziej wprawne ucho dialektologa nie może się równać z fonografem co do precyzyjnego uchwycenia wszelkich odcieni fonetycznych. Bedzie mniej sporów o zasłyszane fonemy, gdyż badacz w gabinecie swoim może dowolną ilość razy odegrać tekst gwarowy celem wyłowienia interesujących go problemów.

Zasługą ruchliwego ośrodka poznańskiego, tj. prof. M. Rudnickiego oraz doc. L. Zabrockiego, jest organizowanie Archiwum Fonograficznego. Doc. Zabrocki jest inicjatorem i spiritus movens tegoż Archiwum. Prof. J. Orłowski opiekuje się również tą placówką. Co do szczegółów odnoszących się do Archiwum Fonograficznego (aparatura, technika utrwalania, nagrywania, plany na przyszłość) odsyłam do komunikatu, który się ukazał w „Slavia Occidentalis” (rok 1948, s. 515).

Instytut Filologii Polskiej i Słowiańskiej Uniwersytetu we Wrocławiu zainteresował się już w roku 1946 gwarami Dolnego Śląska (dr Stanisław Bąk) i pow. niemodlińskiego (Z. Martynowski). Po skontaktowaniu się z Poznaniem Archiwum Fonograficzne

zorganizowało w lipcu br. ekspedycję naukową po Dolnym Śląsku i w pow. niemodlińskim. Na podstawie wytypowanych informatorów przez dr Bąka dla pow. brzeskiego i namysłowskiego oraz przez Z. Martynowskiego dla pow. niemodlińskiego, zebrano cenny materiał dialektologiczny w postaci kilkunastu płyt nagranych. W skład ekspedycji wchodził: doc. L. Zabrocki, dr S. Bąk, asystentka Uniw. Pozn. N. Borowska, Z. Martynowski, elektro-akustyk inż. Wysztyński oraz podpisany.

W Czepielowicach, pow. brzeski, autochton H. Lucas, około 70 lat mający, urodzony w Lubiesiu (= Lubsza), z zawodu cieśla opowiadał o swoim życiu. Żona i córka nie władają biegle językiem polskim, choć teraz uczą się języka polskiego, a córka czyni znaczne postępy w tym kierunku, gdyż za nauczyciela ma męża swojego, repatrianta. Wnuczka, dwuletnia, nie przejmie od swojego „starzyka” wymowny *ptouk* = ptak, *goe* = go i innych właściwości gwarowych, gdyż naśladowuje język ojca.

W Karłowicach (niektórzy autochtoni używają formy Katowice) Józef Sowa, 86-letni, choć bezzębny, to jednak pięknie i interesująco gwarzył o Dzierżoniu, nazywając go *Pan Dzierżan*. Ten urodzony narrator rozgadał się na dobre przed mikrofonem, jak to nosił *pcoty pana Dzierżana* do Stobrawy, czy *na pocta*. Pomagali mu

w tym interview 69-letni Paweł Sowa i 63-letni H. Kasprzak.

Największy był to czas, aby utrwalić na płytach ostatnich mohikanów tej gwary dolno-śląskiej. Poważnie obawialiśmy się z drem Bakiem, jadąc w teren, czy stary Sowa żyje, bo np. Daniel Gebel ze Starego Kolnia, zniedołężniały, dogorywa w łóżku.

Stąd przenieśliśmy się w Niemodlińskie, nad Ścinawą i Nysę Kłodzką¹⁾, celem zbadania najdalej na zachód wysuniętych punktów z resztkami ludności autochtonicznej.

W Tułowicach 40-paroletni Brotkorb, choć młody, to jednak okazał się wspaniałym obiektem. Z humorem, pyszną, nieskazitelną gwarą mazurzącą (pochodzi z Sowin) opowiedział nam koleje swojego życia i różne szczególności uprawy roli i życia wiejskiego. Tak samo stary Rotkugel i jego *kobiya*, pochodzący z Sowin, dostarczyli nam cennego materiału.

W Łambinowicach ociemniały 80-paroletni Hauk, pochodzący z Polskiej Jamki, dalej rozmowny Przyklęk i jego żona Przyklękula, Uliczkowa, Okońka dostarczyli nowego materiału.

Nasunęły się problemy dialektologiczne, tj. granica mazurzenia oraz wymowa: ę po spółgłoskach palatalnych jak: q. Okazało się, że jedynie

¹⁾ Tak w powiecie brzeskim, jak i w niemodlińskim słyszeliśmy tylko o Nysie, nie zaś o Nisie!

„sycą” (tak o mazurzeniu wyraziła się Uliczkowa z Pogorzy) w Sowinach. Natomiast Przyklęk i jego żona, pochodzący z Rzymkowic, nie mazurzą. Celem bliższego zbadania tych problemów, tj. między innymi szerszego — niż to oznaczone jest na mapie prof. K. Nitscha²⁾ — zasięgu wymowy: *piąc, piącć, wyprząże*. Trzeba będzie dokładnie opracować ten dialekt, znany temu badaczowi nie z autopsji, lecz z danych dostarczonych przez ks. M. Przywarę.

Ogółem biorąc dyftongiczna wymowa *a* jak: *au* jest o wiele konsekwentniej przeprowadzona w pow. brzeskim niż w pow. niemodlińskim, co nas nie dziwi ze względu na bliższą odległość terenu brzeskiego do gwar wielkopolskich.

W Świerczowie, pow. namysłowski, nagrano 3 płyty: S. Wałek, 63 lata, J. Białas 50 lat, P. Sowa, 81 lat. Z braku czasu pominęliśmy innych licznych informatorów zarówno w powiecie brzeskim, niemodlińskim jak namysłowskim. Po pierwszym rekonesansie mamy nadzieję, że uda nam się wraz z Archiwum Fonograficznym poznańskim, doceniającym ważność badań śląskich, przeprowadzić systematyczne nagrania badanych przez nas gwar Śląska.

Stanisław Rospond (Wrocław)

²⁾ „Dialekty polskie Śląska” (Materiały i Prace Komisji Językowej, t. IV, Kraków 1909).

W STRONĘ OSSOLINEUM: Z DZIEJÓW EKSLIBRISU POLSKIEGO

Wprawdzie od kwietniowych uroczystości związanych z dwusetną rocznicą urodzin Józefa Maksymiliana Ossolińskiego upłynęło aż nadto czasu, ażeby do nich po paru miesiącach powracać, ale — na szczęście czy na nieszczęście — coś nie coś zostało do przypomnienia.

7 kwietnia odbyła się akademія poświęcona Ossolińskiemu, która pomimo wielu starannych przygotowań przeszła stosunkowo cicho, jeśli chodzi o echa prasowe. W nawale tego rodzaju świąt-wspominków widocznie wielka podaż zmniejsza popyt. Wyprane z indywidualnej barwy rocznice za-

tracając swą wymowę zachowując oschłość stając się swojego rodzaju konwenansem, nie z winy inicjatorów, lecz z winy obojętności opinii publicznej. A jest zasługą przypomnienie naszym współczesnym osobistości tak ciekawej, która, pomimo widocznych racji, nie doczekała się dotąd swojej monografii. Obarczony ideowym bagażem Oświecenia, przedstawiciel czasu Stanisławowskiego, radykalizujący teoretycznie reformator, skłonny ku rzemiosłu literata polityk Ossoliński, pozostał przede wszystkim erudytą, wyposażonym w zmysł krytyczny, duchowym protoplastą Korbuta, no i — rzecz jasna — bibliofilem. Dobrze się stało, że przybliżono ku nam chociaż w tej formie obraz człowieka, którego dzieło fundatorskie więcej jest znane niż żywot i praca.

Przygotowania do święta ossolińczyków sięgnęły wcześniejszego okresu, do momentu, w którym rozpoczęto opracowanie inwentarza rękopisów, dzieła tyle cennego co benedyktyńskiego, jeśli zważyć obowiązki spadające na zespół wykonawców. Tom pierwszy oddany został do użytku przy końcu ubiegłego roku, razem z III Rocznikiem Ossolineum, tom drugi przybył w dniu zafiksowanym na drugą uroczystość, która właściwie stała się ostatecznym akcentem na pracach trwających od miesięcy. W tymże kwietniu otwarto wystawę rękopisów i pierwotnych dzieł Słowackiego i wystawę „Dzieje ekslibrisu polskiego”. Udzielono także miejsca Zjazdowi Delegatów Zw. Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich.

Wszystko to były niejako akcesoria rocznicy. Trzeba przyznać, że skala, przynależna wydarzeniom tego rozmiaru, została przez organizatorów utrzymana.

Małe usprawiedliwienie pod adresem tytułu: dlaczego ekslibrisy? Pomijam aksjomat: Wrocław leży na ziemiach zachodnich, pomijam pedagogiczny sens

przeżycia artystycznego, pozostaną przy uzasadnieniu, że zbiory, należące do najwspanialszych znalazły się pod dachem Ossolineum. Ponadto — wystawa objęła cały wachlarz wydawnictw z zakresu bibliofilstwa i ekslibrisologii polskiej w zasięgu najszerszym, bo od jej początku aż po czasy okupacji i dzień obecny. Nota bene prace z lat 1940—1944 pozostają w rękopisie, ergo są niedość znane a może warte zainteresowania. Dlatego uważam za rzecz przydatną zwrócenie uwagi na same chociażby tytuły, zwłaszcza, że w natłoku problemów polityki wydawniczej nie sądzę, aby znalazło się miejsce dla tych opracowań tak nie związanych z teraźniejszością a przecież dorzucających jakiś minimalny przynajmniej zasób wiedzy o kulturze polskiej książki.

Zaprojektowana przez Tadeusza Solkiego, jednego z najlepszych znawców i kolekcjonerów, wystawa została pojęta jako przewodnik po dziejach znaku książkowego w Polsce. W chronologicznej kolejności ujęto najbardziej typowe momenty rozwojowe treści, formy i techniki grafiki ekslibrisowej. Znak książkowy ma swoją bogatą historię i stanowi jedną z najosobliwszych kart sztuki graficznej. Z natury rzeczy, powołany do życia na wyraźne zlecenie posiadacza księgozbioru, poniósł wszystkie konsekwencje związane z tego rodzaju transakcją między właścicielem a wykonawcą. Sama książka otrzymuje w rozdziale ról któreś tam z rzędu miejsce, jako jeden z warunków wyznaczających charakter znaku. Dzieje ekslibrisu to w pewnym sensie kolejne zmiany proporcji między inżynierem posiadaczem i twórcą; a także powolnego dochodzenia do głosu samej książki. Oczywiście jest to jedno z wielu możliwych spojrzeń na sztukę małej formy, spojrzenie nieco socjologiczne znajdujące jednak pewne historyczne poparcie.

Przeszłość polskiego ekslibrisu, uboższa niż w krajach zachodnich, przynajmniej tak sądzić należy z zachowanych dowodów istnienia, trudna do zbadania wskutek ubogiej stosunkowo źródłowej literatury rodzimej, posiada swój odrębny wyraz i własne tradycje, zupełnie ciekawe z pozycji artystycznych, interesujące z pozycji socjologicznych. Artystycznie zbliżony do wzorów francuskich (jeśli można z całej przeszłości wysnuć tak uogólniające spostrzeżenie) ekslibris polski odstaje wyraźnie od ciężkich, gwałcących dozwolone proporcje tworów niemieckich. Dość późno rozpowszechniony, przyjęty zostaje, rzecz ciekawa, nie tylko przez posiadaczy magnackich bibliotek czy wykształconego mieszczaństwa. W 1817 roku Jura Gajdzica, chłop ze Śląska Cieszyńskiego, występuje ze swoim znakiem własności, będąc prawdopodobnie autorem najstarszego ekslibrisu chłopskiego. Pisze o tym inny chłop-bibliofil, Jan Wantuła z Goji-Ustronia. Jerzy Gajdzica ze wsi Mała Cisownica jak świadczy zdobny w paciorki drukarskie znak książkowy: „Jura Gaydzicza z male Tiscownice”, urodzony w drugiej połowie osiemnastego stulecia, zbierał przez długi ciąg swego żywota pierwodruki Reja, Biblię Budnego, Grzegorza z Żarnowca, Dambrowskiego, aby je wielkodusznym gestem rozdarować przed śmiercią rodzinie.

Szerzej jeszcze, nie w formie pojedynczych znaków, występuje na tle ekslibrisu bibliofilstwo kobiet polskich. Edward Chwalewik poświęcił tej sprawie monografię wydaną w Bielawie w roku 1942, w maszynopisie, „Bibliofilki polskie XV—XIX wieku i ich upodobania ekslibrisowe”. Zespół dam jest wcale liczny i okazały a data najstarszego znaku zadziwiająco wczesna. Znak ten należy do Urszuli z Kurozwęk, kasztelanowej wiślickiej, starościny opoczyńskiej, pochodzi z końca

XV wieku. Cóż takiego czytała, zacna pani? Boccaccia „Compendium de praeclaris mulieribus”. Rzadki dziś ekslibris donaacyjny dominikanów z Żółkwi przynależy Teofili Sobieskiej, matce króla Jana. Zamiłowania przybierają niekiedy formę aktywną, są twórczy nie, ba, typografki! Józefa Amalia z Mniszchów Potocka komponuje i wykonuje w akwafortcie własny znak książkowy (emblematy masonskie świadczą nie tylko o artystycznych inklinacjach autorki), we własnej drukarni pokojowej odbiła inna posiadaczka ekslibrisu, Anna z Sapiehów Jabłonowska „Przepisy dla polepszenia położenia włościan” (1727 do 1800) Zamówienia kobiece wpływały do znanych pracowni, Konstancja Sapieżyna wybrała do tego celu rylec znakomitego Myliusa, Radziwiłłowe — Herszka Leybowicza, nadwornego sztycharza domu. Mniej liczne od znaków niemieckich, ekslibrisy polskie zachowują o wiele bardziej wyrobioną formę, przemawiają za smakiem i wyczuciem artystycznym Polek.

Ma też swoją pozycję Śląsk. Oto wykonany ręką anonima znak prowadzi do oficyny Wietora. Właściciel jednego z najstarszych ekslibrisów to śląskokrakowski Samuel Wolff „poeta laureatus”, a najstarszy ekslibris biblioteki kościelnej, jaki znamy w Europie, pochodzi z księgozbioru przy kościele Marii Magdaleny we Wrocławiu, z roku 1579. Jerzy Trzanowski, pastor śląski, dodajmy: cieszyński, autor „Od łacińskich”, drukowanych w Brzegu w 1628, znaczy swe zbiory własnym ekslibrisem. A dalej: Wawrzyniec Budaeus, kanonik wrocławski, dominikanie wrocławscy, jeszcze w XVI wieku pozostający pod rządami polskich przetrwałych, przekazują potomnym dowody miłości ksiąg. Dojrzy oko widza wystawowego skromne i niepowabne znaki bibliotek śląskich z czasu kasaty 1810 roku.

Pierwszy, niestety z reprodukcji znany, prototyp znaku polskiego odnosi się do scholastyka kruszwickiego, Gruszczyńskiego, herbu Poraj. Jest to namalowana na kodeksie z 1419 roku róża, czas prehistorii ekslibrisowej, kiedy ze wszystkich charakterystycznych cech ekslibrisu występuje jedna tylko: cecha własności jako zaczątek ekslibrisu.

Wiek XVI poznajemy z tarcz herbowych Krzysztofa Szydłowieckiego, Andrzeja Krzyckiego prymasa i arcybiskupa gnieźnieńskiego, czy krakowskiego lekarza Antoniego Schneebergera — możnowładcy, patrycjusza, cuius regio... Motywy architektoniczne frontispisu przenoszą się często na naklejkę własnościową w czasie Odrodzenia. Odbite z klocka drzeworytniczego, a potem ryte w miedzi tiary, panasze, ekiussony poddają się niespokojnym liniom baroku. Ekslibris to symbol związany z posiadaczem, ale nie z konkretną osobą, jeno z nazwiskiem, rodem. Książce pokrewny jest chyba tylko nastrojem. Dopiero w następnej fazie zmieni swą treść na symboliczne również sowy, globusy, cyrkle, sklezione wnętrza biblioteki czy płomień zniczowy; nie zauważając indywidualnej treści książki zwraca się ku personifikacjom wiedzy. Z czasem te stereotypy ustąpią miejsca modnym alegoriom kobiecych postaci, na tle wewnątrz czy pejzaży dając wyraz nowym gustom, indywidualizującym się zamiłowaniom, coraz bardziej osobistym.

Nie od razu występuje sam określnik: „ex libris”, zwłaszcza jako czynnik dekoracyjny. W gonitwie za należnym mu miejscem potrafi zredukować wiele elementów zdobniczych, dopuszczając co najwyżej wstęgę, wieniec dokola nazwiska. Za przykład służy znak Chreptowicza. Jesteśmy w wieku XVIII, z czasu kwiatowej girlandy, laurowych gałązek, liścia palmowego, tak przynajmniej mówi ekslibris. Wy-

rafinowanej prostocie ekslibrisu Chreptowicza przeciwstawiają się, bogate w modne elementy zdobnicze, królewskie znaki Augusta III, Stanisława Augusta Poniatowskiego znaki wielkiej dziś rzadkości, nie wiem, czy nie unikaty.

Znak ekslibrisowy daje okazję do sformułowania żądań, nieraz zupełnie konkretnych jak „Non cedo” Aleksandra Weryhy-Darowskiego, czasem zaś nawet wypowiedzi patetycznych i zasadniczych, jak „Cara patria — carior libertas” Tomasza Kajetana Węgierskiego.

A ręka wykonawcy? Początkowo anonimowa. Z tłumu rzeźbiarzy wystąpi bodaj że pierwszy, reprezentowany na wystawie, Jan Ziarnka. Polonus został oceniony należycie przez nie byle jakich znawców, jeden z unikatów jego rylca zawędrował do British Museum. Jedna z dat wskazuje na rok 1619. Właściwie twórcy pojawiają się pod koniec tego wieku. Na przełomie XVII i XVIII wieku znany jest Franciszek Wacław Balcewicz, rytownik wileński, a także „peintre de Notre Name” obrazków dewocyjnych; potem Jan Mylius, Herszek Leybowicz, Fryderyk John, protegowany Stanisława Augusta, a nieco później Wawrzyniec Kajetan Kielisiński, rówieśnik Chopina i Słowackiego, zmarły przed stu laty. Ostatnio wysunięty przez Tadeusza Przytkowskiego Jan Marcin Weis jest ojcem znanych ekslibrisów mieszczańskich z osiemnastego stulecia.

Wiek XIX, czas niestrudzonej kompilacji, powtórzeń, zastój i nierzadko fuszerki artystycznej, seduje na znak książkowy wszystkie swoje obyczaje. Jak mówi Przytkowski, jest to okres litografii „kaligraficznej”. Dla nas ciekawie będzie rozszerzenie możliwości technicznych, dojsie do głosu stalorytu, litografii, cynku i — w drugiej połowie wieku — renesans drzeworytu. Upowszechnia się też znak książkowy, adaptuje go do swoich celów nawet

i księgarz. Schyłek stulecia, typowy dla wielu przemian, kiedy odezwą się reformatorskie głosy Ruskina i Morrisa, wystąpi u nas znamioną dla grafiki rewolucją wraz z pojawieniem się Wyczółkowskiego i Skoczylasa. Tak więc ekslibris, uratowany z niewolnictwa, narzuconego przez rutynę wieków i nudę przesytu XIX w., uzyskuje nowy kształt i nową treść. Twórcą i książka uzyskują równorzędne miejsce z trzecim kontrahentem — właścicielem.

Nowożytny ekslibris polski przedstawia całą znakomitość możliwości artystycznych grafików polskich. Ze szkoły Skoczylasa, Chrostowskiego czy Noakowskiego wydźwie pokolenie Cieślowskich, Jakubowskich, Przypkowskich, czy współczesnych grafików, jak zmarły w Gross Rosen utalentowany Zganiński, Brudnicki, Młodziański, Bandura, Wiszniewski, Waśkowski.

Wybór tematyki i tworzywa nieograniczony, stąd rozliczne założenia i próby definicji: „Ekslibris — jak powiada Leszner — to wyjawienie środków ekspresji plastycznej imponderabiliów duchowych bibliofila”, albo jak ktoś inny: „Ekslibris jest wyrazem osobistości właściciela, treści książki, epoki, wreszcie — zamiłowań artysty”. Dajmy, są to sformułowania o charakterze normatywnym. Rzeczywistość jest bogatsza. Bywa, że osobistość bibliofila schodzi na plan dalszy, a wyraźniej przemawia artysta sam. Tadeusz Cieślowski — syn wyraża właściwie siebie samego i owe własne imponderabilia.

Wysuwa się też na czoło książka jako przedmiot sztuki graficznej. Stąd warunki konieczne dla harmonii naklejki i okładziny, kanon czytelności znaku, dochowania proporcji formatu, zestrojenia z rodzajem czerpania, papieru, układu, podporządk-

kowanie znaku prawom rządzącym w typografii.

Nowożytnie dzieje ekslibrisu zostały solidnie obsadzone przez dzieła najwyższej, bogactwo ich napełnia żądzością. Oprócz podanych nazwisk zobaczyliśmy całą okupacyjną i teraźniejszą grafikę ekslibrisową. Istotnie było na co popatrzeć. Potwierdzają to obserwacje czynione na publiczności, która wyraźnie faworyzowała tę współczesną twórczość, kontemplując śliczne linoryty Przypkowskiego, kwasoryty Przeorskiej, rzeźbiarski drzeworyt Jarnuszkiewicza czy uwiecznioną przez Wiśniewskiego niezniszczoną Warszawę.

Osobnego spojrzenia domagałby się stałaż z literaturą ekslibrisową. Nie brakowało wydawnictw zasadniczych ani nazwisk: Silva Rerum, Ex-libris, Piekarski, Reychmann, Wittyg, Ettinger, Chwalewik. Wystawiono też około trzydziestki maszynopisów, przygotowanych z zachowaniem pełnego rytuału bibliofilskiego, a więc w znikomej ilości egzemplarzy, ilustrowane oryginałami na wspaniałym papierze, czerpanym, fabrianowskim czy welinie. Większość z nich obraca się dokoła zagadnień formalnych, czy rozważań koncepcyjnych, są jednak prace Chwalewika, Przypkowskiego czy Krama, które mogłyby powiększyć znikomą zasięg pomocniczej literatury księgoznawczej. Wyrażną jest dążność do zinwentaryzowania zjawisk graficznych, usystematyzowania wiedzy i dorobku polskiego w tej dziedzinie. Powojenne wydania to jakby komentarz do „Listy strat kultury polskiej”.

Pozytywne wrażenie ogólne pozostawił przegląd dorobku młodej grafiki miniaturowej, dobrze rejestrującej niezaprzeczone talenty obecnego pokolenia.

Wanda Roszkowska (Wrocław)

NOWY SEZON TEATRALNY WE WROCŁAWIU

Nie wiem, czym błędem było pominięcie Wrocławia w tegorocznych obrachunkach „Twórczości” z sezonem kulturalnym 1948/49. W każdym razie przeoczenie obciążało poważnie tutejszych obserwatorów ruchu kulturalnego i wina leży niewątpliwie po stronie nieobecnych, nawet jeśli, jak informuje Kazimierz Wyka, brak wiadomości z Wrocławia był jedynie przypadkiem. Udowodnić sens takiego sprawozdania byłoby rzeczą najzupełniej zbędną, gdyby nie fakt, że z punktu widzenia tego rodzaju przeglądów Wrocław przedstawia ciekawy obraz środowiska o bardzo specyficznym składzie zawodowo społecznym, na co zwrócono uwagę w planach ogólnych. Tymczasem można wysnuwać fałszywe wnioski, jakoby Wrocław nie był w ogólnym rytmie słyszany. Wnioski krzywdzące, bo fakty mówią zgoła co innego.

Uwagi niniejsze nie zapełnią luki sprawozdawczej. Odnoszą się do jednej tylko sprawy, i to traktowanej w płaszczyźnie teraźniejszości. Sprawy, która jest jednak zwierciadłem zmian, jakie się tu dokonały w ciągu ostatniego roku. Tak zwane życie kulturalne przeszło zdecydowanie w fazę gruntowne, zarówno w sensie zmian ściślej mówiąc Państwowy Teatr Dolno-Śląski.

Nowa ta nazwa nie została nadana dla formalności. Przeobrażenia są gruntowne, zarówno w sensie zmian personalnych jak gospodarczych, czy programowych. Stało się, że nareszcie teatr wrocławski będzie posiadał jakieś sprecyzowane artystyczne i społeczne aspiracje.

Misją tworzenia obdarzono Henryka Szletyńskiego, który objął kierownictwo czterech teatrów: Wielkiego, Kameralnego, Popularnego i wykończonego obecnie największego teatru w Polsce im. Zapolskiej.

Dla zrozumienia, w jakiej atmosferze rozpoczynał Szletyński swoją pracę, warto wiedzieć, że zastał ubożuchne dziedzictwo, świecące mieliznami. Mieliśmy jeden z najsłabszych teatrów w Polsce, którego nie ratowały poszczególne pozycje repertuarowe, czy sukcesy reżyserskie, acz godne większych scen, teatr aktorsko zupełnie nieinteresujący (fatalne warunki mieszkaniowe odstraszały lepszych aktorów, zostawał ten, kto nie mógł trafić gdzie indziej).

Publiczność tutejsza? Nie umiem odpowiedzieć uczciwie na pytanie, kto zapełniał widownię. Wrocławian nie można jeszcze określić według regionalnych nawyczek i upodobań, jak w Łodzi, Krakowie czy w Poznaniu. Jest to miasto robotniczo-uniwersyteckie, zasilone pewną liczbą gotowej przedwojennej inteligencji oraz inteligencji wytwarzanej przez tutejsze środowisko uniwersyteckie oraz kilkuset-tysięcznej masy pracowniczey, robotniczej. Liczba przychodzących do teatru ze sprecyzowanymi żądaniem była raczej niewielka. Po kasowości „Romansu z wodewilu” czy „Słomkowego kapelusza” można się domyślać guścików małomieszczańskich, które wpływały na to, że teatr nieupaństwowiony musiał w pewnym stopniu pracować pod dyktando kasy.

O chłonności i zainteresowaniach świadczy takie porównanie: „Sen nocy letniej”, który szedł najdłużej w Poznaniu ze wszystkich wystawionych tam sztuk, obstał na 70 przedstawień. Wrocław do najbardziej kasowych sztuk zalicza wspomniany „Słomkowy kapelusz”, który wystarczył na 37 przedstawień.

W budżecie tak zwanego masowego widza brakło, przypuszczam, stałej pozycji na teatr. Wprawdzie Okręgowa Rada Związków Zawodowych umożliwiała korzystanie ze zniżek, ale pomi-

jąca fakt, że rozprowadzanie biletów nie podlegało żadnej kontroli, urządzano dla świata pracy zamknięte przedstawienia, co stwarzało niebezpieczną izolację. Na tym zresztą wy-czerpywała się troska o widza. Sprawy repertuarowe, kwestia przekazania dzieła sztuki nie docierały tak bardzo do świadomości organizatorów akcji, nie docierały do teatru.

Objęcie dyrekcji wymagało rozwikłania przedwstępnych kłopotów gospodarczych, kwaterunkowych itp. Z chwilą upaństwowienia placówka wrocławska przeszła na gospodarke kont bankowych, co w pierwszym etapie nieco ograniczało swobodę ruchów. Zerwano też ze zwyczajem angażowania sezonowego pracowników.

Z drugiej strony stworzenie pełnego zespołu, odpowiadającego projektom i zasięgowi (cztery sceny), przy odbijającej się jeszcze warszawomani wy-magało dużych i energicznych zabiegów. Wprawdzie Wrocław nie odczuł bezpośrednio ubytków (ubogi nie ma z czego tracić, gwiazd, poza Kurnakowiczem, który już wcześniej wyemigrował, nie było), niemniej szukać trzeba było poza miejscowym środowiskiem. Ostatecznie pozycja Wrocławia została wybitnie wzmocniona, nawet kosztem scen innych. Najbogatszy łup to chyba reżyseria i scenografia: Szletyński, Karbowski, Edmund Wiercieński, Maryna Broniewska, Władysław Daszewski (na gościnnych występach tak jak i Andrzej Pronaszko). W zespole aktorskim, poza znakomitym Józefem Karbowskim i marnotrawnym synem Kurnakowiczem, jest w ogromnej części młodzież wychowana przez Szletyńskiego.

W tych warunkach występują dwa zasadnicze problemy: zorganizowanie widowni i stworzenie teatru młodych sił.

1. To, co się zamierza i co częściowo już przeprowadzono w zakresie racjonalnego zorganizowania widowni,

jest ciekawym i poważnym eksperymentem. Być może, że z przykładu wrocławskiego można będzie czerpać wzory, o ile skutki wielkiego planu okażą się proporcjonalne do włożonego wysiłku. A wysiłek jest naprawdę duży. Zdobyć masowego widza i wykształcenie jego smaku teatralnego jest pomysłem nie nowym, ale chyba pierwszy raz tak szeroko realizowanym.

Z czterech widowni dwie tylko, w Wielkim i w Teatrze Zapolskiej, będą w stanie pomieścić przy 20 przedstawieniach w pierwszym i przy 30 w drugim — przeszło 53.000 osób miesięcznie, to jest 1/4 ogółu mieszkańców Wrocławia. Problem finansów został także rozwiązany: 75 % biletów na każde przedstawienie (a więc nie jak przedtem przedstawienia zamknięte) przeznaczono dla świata pracy, stosując zniżkę 76 %, co w praktyce wyraża się najwyższą ceną za najlepsze miejsce zł 110,—, z tym jeszcze podkreśleniem, że bilety zniżkowe gwarantują bezwarunkowo dobrą widzialność sceny.

Tak przełamano trudności zewnętrzne: miejsce i cena. Pozostaje sprawa odpowiedzialności za przyciągnięcie widza do teatru. O ile trudności repertuarowe znane są powszechnie i istnieje wspólna dążność do uchwycenia właściwej linii programowej, o tyle troska o recepeję zależy od lokalnych warunków widowni i w tym wypadku trzeba polegać na intuicji i doświadczeniu polityka kulturalnego, reżysera, scenografa, aktora. We Wrocławiu zastosowano maksimum środków „pedagogicznych”: wprowadzono krótkie prelekcje przed kurtyną, użyto pośrednictwa mikrofonu radiowego, wprowadzając do studio reżysera, aktora, krytyka. Teatr zażądał także umiejętnej współpracy recenzenta. Dla zbadania jakości i trwałości percepcji widowiska teatralnego postanowiono wydobyc opinie z ust widza przez dyskusje w zakładach pracy.

Można by rzucić uwagę, że do widza trafia się także przez dobrą sztukę. Tak, ale to już należy do dalszych obserwacji, czy i w jakim stopniu warunek ten został spełniony.

2. Gdy mowa o zespole młodym i nieznanym, Wrocław nie jest odosobniony. Znamy doświadczenia Galla czy Kwaskowskiego. Kiedy patrzymy na tutejszą scenę i metodę pracy przyjętą przez Szletyńskiego, wydaje się, że trafnym posunięciem było umieszczenie obok sceny studium doksztalającego. Ze względu na trochę wyspiarskie położenie Wrocławia szkolenie aktora jest niezbędnym warunkiem.

Charakterystyczną cechą pracy Szletyńskiego jest przyjęcie dublowania ról jako zasady. Z podobną praktyką zetknął się chyba tylko Kraków, tam można wyśledzić wady i zalety tej metody. Metoda ciekawa, przez możliwość przeprowadzania porównań, użyteczna dla aktora i krytyka. Uzyskuje się wielość interpretacji. Widz musi zrezygnować ze snobizmu „ogładania” nazwisk, znajdując się w sytuacji spektatorów średniowiecznego misterium, musi uznać anonimowość od twórcy. Kryją się tu też pewne, nie zawsze przyjemne, niespodzianki, przynajmniej dla części widowni.

Sezon rozpoczęły „Zemsta” i „Listy Chopina”. „Zemsta” w reżyserii Szletyńskiego jest, jak sam zaznaczył, próbą humanistycznego spojrzenia. Nie łatwo jest „Zemstę” wystawić, nie łatwo jest o niej pisać. Tendencją reżysera było wydobycie z niej soczystego realizmu, zarysowanie podłoża społecznego i ocalenie pełnego ładunku humoru. Czy to się udało? Sądzę, że tak. Bardzo cenna okazała się troskliwość o nadanie akcji maksymalnej wartości przez szybsze, niż to się utarło, mówienie i unikanie przerw (jeden antrakt), w czym pomogły dekoracje skrótowe. Sztuka trwa niepełne dwie i pół godziny, widz jest zaabsorbowany od pierwszego podniesie-

nia kurtyny do ostatniego słowa. Możliwe, że utracił na tym odrobinę wiersz Fredrowski, mówiony przez Klarę w wykonaniu Gibczyńskiej, dość po macoszemu. A enfant terrible wielu reżyserów, Papkin? (H. Krzyski) był prawdziwym rezydentem na łasce Cześnika, skazanym na kpiny Klary; biedak w mocy wszystkich go otaczających, kompensujący czysto po adlerowsku swoje upokorzenia snami i potędze. Przy tym wszystkim był bardzo komiczny. Karbowski i Janowski (Rejent i Cześnik) stworzyli dobry duet, zwłaszcza majestatyczny łajdak Karbowskiego urzekał wdziękiem. Bieda tylko z Podstoliną (Drohocka, dbl. Tymowska). Czyżby aż tak niewolniczo pojęła wstępne słowo Jana Kotła, który widząc w niej kobietę wędrującą z rąk do rąk, nie myślał chyba pozbawiać jej wdzięku?

Śliczne dekoracje Daszewskiego ukazały „Zemstę” w ramach kredkowego sztychu, dodając jej lekkości i dowcipu.

Zreformowana widownia przyjęła „Zemstę” bardzo życzliwie. Po miesiącu bilety są wciąż wykupywane na tydzień przed przedstawieniem. Odwołują się znowu do „Słomkowego kapelusza”, frekwencja opiewała na 47% widowni. „Zemsta” idzie dotychczas przy 100%.

„Listy Chopina” należą do trudnego repertuaru. Pomyślane zostały przez Marię Wiercieńską jako dopełnienie muzyki portretem człowieka, nie twórcy. Nacisk położony był więc na słowo, dla którego muzyka była jedynie dopełnieniem. Utrzymano ton kameralny. Tak niebezpieczne zazwyczaj słowo wiążące nie obciążało balastem. Tekst Stromengera istotnie połączył treści słowne z muzycznymi, dając przyjemną, rzeczową i pozbawioną patosu opowieść o Chopinie.

Z wykonawców (na trzy zmiany widziałam dwie) bardzo dobrym opowiadaczem był Słojkowski, niezłym Dowoyno. Krasnodebska świetnie mó-

wiła „Fortepian Chopina”, z którym nie mogła sobie absolutnie poradzić Koziarska. Bugajski czytając listy nie potrafił wejść w skomplikowaną psychikę Chopina, był właściwie małym Szopenkiem, co raziło w listach dorosłego człowieka.

„Listy” nie były kasowe. Dużo, dużo było pustych krzeseł. Na zrozumienie tego rodzaju teatru jeszcze trzeba poczekać. A pomysł był udany. Bo ja-

kież kapitalne to listy! Wydobyto z nich dużo prawdy o Chopinie: był wyrazisty i wzruszający, a nie ekliwy.

O dalszych planach festiwalowych i wielkich widowiskach szekspirowskich oraz o najnowszej sztuce L. Kruczkowskiego „Niemcy” wystawianej równocześnie w Warszawie, Berlinie i Wrocławiu przy następnej okazji.

Wanda Roszkowska (Wrocław)